



# Mam opowiadania

# Mam opowiadania

Organizator



Współorganizator

Instytut Nauk Pedagogicznych  
Uniwersytetu Opolskiego



Patronat medialny

Radio Opole



Radio DOXA



Nowa  
Trybuna Opolska



Projekt finansowany przez  
Samorząd Województwa Opolskiego  
ze środków PFRON



Opolskie Stowarzyszenie Rehabilitacji  
Instytut Nauk Pedagogicznych

Opole 2021

Wydawca:  
Opolskie Stowarzyszenie Rehabilitacji  
Instytut Nauk Pedagogicznych

Redakcja książki:  
dr Ewelina J. Konieczna

Recenzja:  
dr Joanna Janik-Komar

Ilustracje:  
Zuzanna Nowak (*Tęczowy Chłopiec i Jego Niebieska Aura*)  
Wiktorek Kotowicz, Izabela Kotowicz (*Królicze przygody małego Wiktorka*)  
Katarzyna Mela (*Wojownicza Księżniczka Oliwia*)  
Wojtuś Feliks (*Rodzinka Feliksiątek z Doliny Grudki*)  
Franciszek Tworuszka (*Do zobaczenia Babciu...*)

Skład, druk, korekta:  
Drukarnia Poldruk

Numer ISBN: 978-83-945804-4-5

„Projekt *Siła Kobiet 3* finansowany przez Samorząd Województwa Opolskiego  
ze środków PFRON, realizowany przez Opolskie Stowarzyszenie Rehabilitacji  
w partnerstwie z Instytutem Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego”

## Słowo o projekcie...

Lata doświadczeń i obserwacji pokazały, na jak wiele wyrzeczeń gotowe są matki, a w szczególności matki dzieci z niepełnosprawnością. Ich macierzyństwo nie zaczyna się bowiem od wyboru pięknego wózka, kolorowych ubranek i magii narodzin. Zazwyczaj początkiem tej trudnej drogi jest diagnoza budząca lęk o przyszłość, często nienarodzonego jeszcze dziecka. Jednak w życiu tych matek obecna jest także siła, której nierzadko wcześniej w sobie nie dostrzegają. Właśnie na tę siłę chcieliśmy zwrócić uwagę w opisywanym tu projekcie.

To już trzecia edycja projektu pt. „Siła Kobiet”, realizowanego we współpracy z Instytutem Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego. Tym razem matki dzieci z niepełnosprawnością, w trakcie zorganizowanego dla nich kursu napisały bajki i opowiadania o sobie i swoich dzieciach. Owoc tej pracy Drogi Czytelniku trzymasz właśnie w dłoniach. Beneficjentkom przyświecał cel, aby pomóc sobie i innym lepiej poznać i zrozumieć sytuację osób będących w podobnym położeniu i zmotywować do działania, pomimo napotykanych trudności.

Dzięki projektowi powstała niezwykła książka dla dzieci i dorosłych, recenzowana przez dr Joannę Janik-Komar. Znajdziesz w niej Drogi Czytelniku nie tylko bajki i opowiadania, ale także ilustracje tworzone przez członków rodziny. To wszystko nie udałoby się, gdyby nie udział w projekcie prowadzącej warsztaty pisania bajek i opowiadań, dr Eweliny J. Koniecznej. Warto wspomnieć również o audiobooku będącym integralną częścią tej publikacji. Słowa podziękowania należą się zarówno aktorce Opolskiego Teatru Lalki i Aktora, Aleksandrze Mikołajczyk, która odczytała teksty bajek, jak i Tomaszowi Ogórczakowi, autorowi muzyki do bajek zamieszczonych na płycie.

Zapraszamy więc Państwa do świata baśni, gdzie wszystko jest możliwe! Zachęcamy do przeczytania opowiadań, które trudne sprawy przedstawiają w nieco innym świetle. W przedstawionych tu światach matki mają ogromną moc. Potrafią znaleźć odrobinę światła w najmroczniejszym zakamarkach życia. A wszystko po to, by ich dziecko mogło być szczęśliwsze.

Małgorzata Bilińska  
v-ce Prezes Opolskiego Stowarzyszenia Rehabilitacji

## Słowo o książce....

Bajka towarzyszy nam od najmłodszych lat. Opowiadana przez rodziców i dziadków staje się pomostem pomiędzy dziecięcym światem a otaczającą go rzeczywistością. Rozbudza wyobraźnię i dostarcza wiedzę kształtującą sposób myślenia o świecie wartości. Dla osoby dorosłej bajka jest ważnym elementem jej tożsamości, pozwalającym zachować pamięć o przeszłości i tradycji. Dzięki baśniowemu światu dorosły ma możliwość wzmacniania więz z własnym dzieckiem, które słuchając - opowiadanych lub czytanych – bajek, poznaje zasady panujące w świecie.

Prezentowane tu bajki przeznaczone są dla różnych odbiorców. Niektóre kierowane są do dzieci, inne do osób dorosłych. Jednak ich wspólnym mianownikiem są doświadczenia ich Autorów. Każda z nich jest matką dziecka z niepełnosprawnością. Na co dzień są obserwatorkami i współuczestniczkami wydarzeń i towarzyszących im emocji, obecnych w życiu ich dziecka. Opowiadają o tym w bardzo subiektywny sposób, co jest największą wartością zebranych tu tekstów. Przeżycia, jakie towarzyszą rodzicom dzieci z niepełnosprawnością, są konglomeratem ich życiowych doświadczeń, umiejętności radzenia sobie z trudną sytuacją oraz sposobu postrzegania świata i jego sensu. To wszystko sprawia, że percepcja niepełnosprawności własnego dziecka jest bardzo osobista i niepowtarzalna. Jedyna w swoim rodzaju.

Takie też są bajki zamieszczone w niniejszej publikacji. Pani Katarzyna swoją niezwykle dojrzałą historią przenosi Czytelnika do świata, w którym mały chłopiec musi pokonać długą drogę do domu. Jego niebieska aura, która mu towarzyszy jest symbolem problemów spowodowanych autyzmem. Pomocna wróżka sprawia, że aura traci na swojej intensywności i dzięki temu chłopiec – chociaż wciąż doświadczający trudności – odzyskuje kontakt z otaczającym go światem. Bohaterem bajki Pani Izabeli jest króliczek Wiktorek, który wraz z przyjacielem i „przyrodnym” rodzeństwem przeżywają fascynujące przygody. Nie jest on jednak typowym króliczkiem. To, co go odróżnia od pozostałych to „dar”, jaki otrzymał od wróżki De Novo. Ponieważ jego królicze ciało dotknięte jest ataksją, konieczna jest ciągła rehabilitacja. I z tego powodu, w swoim przydomowym ogródku gromadzi sterty nakrętek po plastikowych butelkach, które okazują się kanałem łączącym jego rzeczywisty świat ze światem (wcale nie tak groźnych) piratów. Nieco inny charakter ma tekst Pani Marzeny, który jest nawiązaniem do klasycznej bajki o złej królowej i dobrej księżniczce. Z tą jednak różnicą, że jej bohaterkę cechuje godna podziwu waleczność. Nałożona na nią klątwa sprawia, że nie może samodzielnie się poruszać. Jednak sympatia jaką budzi u poddanych swoim dobrym sercem i uśmiechem sprawia, że wszyscy chętnie jej pomagają. Dzięki swojemu uporowi w walce

o zdrowie zyskuje samodzielność i radość z życia, pomimo utraconej sprawności. To, co wyróżnia bajkę Pani Patrycji to narrator, którym jest dziecko. Ten nieprzeciętny chłopiec rodzi się tak malutki, że trzeba dla niego szyć specjalne ubranka. Jego osobliwość polega też na tym, że pomimo niskiego wzrostu jest wielkim człowiekiem – potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji, a doświadczane niepowodzenia traktuje jako wyzwanie i misję do wykonania. Bajką zamykającą ten niezwykły zbiór jest tekst Pani Kariny, skierowany do dorosłego odbiorcy. Autorka dotyka w nim problemów natury egzystencjalnej, obecnej w życiu każdego dorosłego człowieka. W swoim tekście mierzy się Ona z mitem, że wszystko, co otrzymujemy od Boga/losu skrojone jest na miarę naszych możliwości. Stojąc w opozycji do tego twierdzenia, przedstawia własną receptę na radzenie sobie z tym trudnym doświadczeniem, jakim jest urodzenie dziecka z niepełnosprawnością.

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o ilustracjach zamieszczonych w książce, które niewątpliwie podnoszą wartość tej publikacji. Ich Autorami są dzieci będące, albo bohaterami bajek, tak jak Wojtuś (*Rodzinka Feliksiątek z Doliny Grudki*) oraz Wiktorek (*Królicze przygody małego Wiktorka*), który swoje prace plastyczne przygotował wraz z mamą, albo rodzeństwo bohaterów bajek – Zuzanna (siostra Tęczowego Chłopca) i Katarzyna (siostra Wojowniczej Księżniczki Oliwii). Z kolei Pan Franciszek, artysta malarz i przyjaciel rodziny przygotował rysunki do opowiadania Pani Kariny. Dzięki tym wszystkim ilustracjom, będącym plastyczną oprawą książki, niewątpliwie zyskała ona na atrakcyjności.

W tym miejscu chciałabym jeszcze podziękować wszystkim Osobom zaangażowanym w tworzenie tej książki, tj. Autorom i dzieciom oraz ich bliskim i przyjaciołom, którzy brali udział w tym niecodziennym przedsięwzięciu. Podziękowania należą się także Małgorzacie Bilińskiej, v-ce prezes Opolskiego Stowarzyszenia Rehabilitacji oraz Regionalnemu Ośrodkowi Polityki Społecznej w Opolu, bez których ta ważna inicjatywa nie mogłaby zaistnieć.

Ewelina J. Konieczna  
Instytut Nauk Pedagogicznych  
Uniwersytet Opolski



## *Spis treści*

<b>Tęczowy Chłopiec i Jego Niebieska Aura</b> .....	9
<i>Katarzyna Nowak</i>	
<b>Królicze przygody małego Wiktorka</b> .....	25
<i>Izabela Kotowicz</i>	
<b>Wojownicza Księżniczka Oliwia</b> .....	41
<i>Marzena Nowicka</i>	
<b>Rodzinka Feliksiątek z Doliny Grudki</b> .....	53
<i>Patrycja Feliks</i>	
<b>Do zobaczenia Babciu...</b> .....	65
<i>Karina Pałgan</i>	





## Tęczowy Chłopiec i Jego Niebieska Aura

Pewnego pochmurnego, deszczowego dnia Wróżka Przejściuszka spojrzała w ciemne, burzowe niebo. Od rana padał deszcz, a na niebie nie było widać ani skrawka słońca. Wiedziała, że to dziś i czekając z niecierpliwością, wpatrywała się w szarobure chmury...

W tym samym czasie mały Chłopiec szedł w całkowitych ciemnościach. Był prowadzony za rączkę i nic nie widział. Słyszał jedynie miły, miękki, dziewczęcy głos, który powtarzał mu: *Nie bój się*. Chłopiec czuł lekki strach, ale delikatna dłoń dziewczynki trzymała go mocno, dając mu poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy po jakimś czasie doszli do Niebieskiej Polany, zrobiło się dużo jaśniej, a wokół roztaczał się błękit nieba. Otoczeni miękkimi, białymi chmurkami, płynęli w powietrzu w stronę Kolorowej Tęczowej Zjeżdżalni. Słoneczna Dziewczynka odwróciła się do Chłopca, a jej śliczna błękitna sukienka powiewała na wietrze niczym skrzydła motyla. Miała piękne długie włosy, w które wplecione były białe kwiaty. Bił od niej blask, który Chłopcowi skojarzył się ze Słońcem.

- Każde dziecko, wracające na Drugą Stronę Słońca - zwróciła się do Chłopca - *tylko raz udaje się na Drugą Stronę Tęczy. Robi to w pochmurny, deszczowy dzień. Zaraz po burzy musi odnaleźć tęczę i przyprowadzić na ziemię Tęczowe Dziecko.*

- *Dlaczego akurat w pochmurny i deszczowy?* - zapytał Chłopiec.

- *Kiedy dzieci odchodzą na Drugą Stronę Słońca, by stać się Słonecznymi Dziećmi, ich mamy bardzo płaczą. Płaczą, ponieważ chcą, aby z nimi zostały. Wiedzą jednak, że jest to niemożliwe... Wówczas ich matczyne łzy zaczynają gromadzić się w ciemniejących chmurach. Towarzysząca im rozpacz spowija w ciemności cały świat, a żal rozrywa burzowe chmury wielkimi błyskawicami. Wiadomo jednak, że po każdej burzy pojawia się tęcza i wtedy właśnie nadchodzi czas, gdy Słoneczne Dzieci wyruszają na Drugą Stronę Tęczy, aby wybrać Tęczowe Dziecko i sprowadzić je na Ziemię. Każde Słoneczne Dziecko może to zrobić tylko raz. A jeśli nie zdąży a tęcza zniknie, wszystko pójdzie na marne. Ja wybrałam właśnie Ciebie -*



Dziewczynka uśmiechnęła się do Chłopca.

Chłopiec chciał jeszcze o coś zapytać, gdy nagle Tęczowa Zjeżdżalnia zaczęła blednąć. Dziewczynka złapała Chłopca za rączkę i zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć, ześlizgiwali się już bardzo szybko. Kolory tęczy zlewały się ze sobą, tworząc niewiarygodnie piękne kompozycje barw. Chłopcowi wydawało się, że zjeżdżają całą wieczność. Kolory sprawiły, że stał się bardzo senny i nie wiadomo kiedy zasnął, trzymając cały czas za rękę Słoneczną Dziewczynkę.

Tymczasem Wróżka Przejściuszka stała na łące, pośrodku której opierała się tęcza. Wypatrywała z niecierpliwością Tęczowego Dziecka z Kolorowymi Aurami. W swoim długim wróżkowym życiu pomogła już wielu Tęczowym Dzieciom odnaleźć ich mamy w Mieście Ludzi. Była w tym prawdziwą specjalistką, co wywoływało u niej poczucie dumy z dobrze wykonywanej pracy. Więc i tym razem zastanawiało ją jaki kolor aury będzie miało dziecko, które za chwile zsunie się z wielobarwnej tęczy wprost na kwiecistą łąkę.

Jednak tęcza powoli bledła, a Tęczowego Dziecka nadal nie było. Przejściuszka zaczęła się już niepokoić, ponieważ w przeszłości kilka razy zdarzyło się jej, że długo czekała przy kolorowej tęczy, a i tak nikt się nie pojawił. Kiedy traciła już nadzieję, usłyszała odgłosy dobiegające z góry.

- *Nareszcie!* - pomyślała i wypatrywała swojego nowego podopiecznego, który pojawił się chwilę później.

Tęczowy Chłopiec obudził się na trawie. Wokół było zielono, a zapach kwiatów był tak intensywny, że przyprawiał go o zawrót głowy. Przez chwilę nie pamiętał, co się stało, ale zaraz przypomniał sobie, że zjeżdżał z Kolorowej Tęczy, trzymając za rękę Słoneczną Dziewczynkę. Odruchowo spojrzął więc w kierunku swojej ręki, ale Dziewczynki nigdzie nie było. Nagle poczuł, że coś delikatnie łaskocze go w tę samą dłoń, w której do niedawna trzymał rękę Dziewczynki. Rączkę miał nadal lekko zamkniętą więc odwrócił ją i otworzył. Zobaczył wtedy na swojej dłoni pięknego Tęczowego Motyla. Uwolniony owad wzbił się szybko w górę i zniknął w promieniach słońca, coraz bardziej rozgaszczającego się na niebie po wielkiej burzy.

Minęła dłuższa chwila, a Chłopiec nadal siedział na trawie. Nie zauważył, kiedy tuż obok niego ktoś się pojawił. Wróżka Przejściuszka przez chwilę obserwowała Chłopca, po czym odezwała się do niego delikatnym głosem:

- *Witaj Tęczowy Chłopczyku! Jestem Wróżką Przejściuszką! Pomogę Ci odnaleźć Mamę w Mieście Ludzi.*

Chłopiec jednak nie zareagował na jej słowa. Wróżka podeszła bliżej. Dostrzegła wówczas, że Tęczowy Chłopiec otoczony jest Niebieską Aurą. To ona sprawiła, że nie zareagował na jej powitanie. Widziała ją już kilkakrotnie i wiedziała, że aura nigdy nie zniknie całkowicie. Jednak może

z czasem zblednąć, jeśli odprawi się odpowiednie Rytuły Ucha, Głowy, Oka i Serca. Wiedziała, że bez ich odprawienia aura będzie stawała się coraz mocniejsza. Do tego stopnia, że z czasem, gdy będzie już ciemnogrnatowa – może uniemożliwić Chłopcowi odnalezienie jego Mamy. Przejściuszka widziała, że Chłopiec nie jest jeszcze gotowy na spotkanie z Mamą. Musiała więc zaprowadzić go na Magiczne Wzgórze, aby odprawić wspomniane rytuały.

Droga na Magiczne Wzgórze była bardzo kamienista i wąska. Wokół rośło dużo drzew i krzewów utrudniających drogę. Chłopiec wydawał się spokojny i zamyślony. Było słonecznie i ciepło, ptaki śpiewały radośnie, chowając się w zieleni drzew i krzewów. On jednak zdawał się tego nie dostrzegać.

Zmęczeni długą, wyczerpującą drogą dotarli wreszcie do Osady Grzecznych Dzieci, która mieściła się mniej więcej w połowie drogi na Magiczne Wzgórze. Była ona dobrze ukryta wśród gąszczy krzewów i drzew. O Osadzie Grzecznych Dzieci wiedzieli wszyscy w Mieście Ludzi, ale nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Krążyły o niej niesamowite opowieści, a każde dziecko marzyło o tym, by tam zamieszkać. Osada była bowiem miejscem spełnienia marzeń każdego dziecka. Były tam najwspanialsze zabawki, jakie tylko można sobie wymarzyć, którymi można było bawić się cały dzień. W Osadzie można jeść słodczyce bez ograniczeń oraz chodzić spać, kiedy się chce. Bez wątpienia każde dziecko z Miasta Ludzi śniło o niej nie raz. Mogły jednak zamieszkać tam tylko Bardzo Grzeczne Dzieci i tylko na tyle dni, ile mają lat. Z Miasta Ludzi dzieci były tam zaprowadzane nocą z zastoniętymi oczami przez Elfiaki, czyli elfy opiekujące się Osadą Grzecznych Dzieci.

Tę wyjątkową osadę otaczał Wysoki Wafelkowy Mur z Wielkimi Czekoladowymi Drzwiami. Można było przez nie przejść, podając specjalny kod złożony z szyfru 6 cyfr. Należało je wpisać na specjalnym urządzeniu zamieszczonym na drzwiach. Jednak najpierw trzeba było odszyfrować kod. Należało wykonać skomplikowane zadanie matematyczne, które było zapisane na tablicy obok drzwi. Wszystko po to, aby do Osady nie mogli wejść żadni nieproszeni goście. Wróżka nie raz tkwiła długie godziny pod drzwiami, usiłując rozwiązać te trudne zadania. Za każdym razem były one inne. Kiedy i tym razem Przejściuszka głowiła się nad zadaniem, Tęczowy Chłopiec podszedł bez słowa do stojącej obok tablicy, wziął kredę i zaczął coś po niej pisać. W kilka chwil rozwiązał zadanie, wpisał kod i drzwi się otworzyły. Wróżka była pod wielkim wrażeniem jego niesamowitych umiejętności.

Kiedy wreszcie Wielkie Czekoladowe Drzwi otworzyły się, ich oczom ukazał się piękny widok. Zewsząd dobiegały śmiechy i radosne okrzyki dzieci. Na środku stał olbrzymi plac zabaw z dmuchaną zjeżdżalnią i wielką trampoliną, na której można było skakać bardzo wysoko. Dookoła jeździła kolejka górską, a kolorowe wagoniki wypełnione były po brzegi piszczącymi z radości dziećmi, które co rusz mijały Chłopca i Wróżkę. Był też tam sklep, w którym półki ugięły się od najpyszniej-

szych słodyczy, waty cukrowej i lodów, jakie tylko ktoś sobie zażyczył. W Osadzie znajdowało się także kino, basen z piętkami, huśtawki, park wodny, ogromne bańki mydlane i dużo, dużo więcej. W tej pięknie krainie za nic nie trzeba było płacić.

Wróżka patrzyła na Tęczowego Chłopca, trzymając go za rękę. Stał nieruchomo. Spoglądał przed siebie, lekko marszcząc czoło, a jego wzrok zdawał się być nieobecny. Chłopiec czuł narastający ból głowy, w której słyszał przeszywający pisk, przeraźliwy hałas i dudniące dźwięki. Tak jakby ktoś uderzał go młotem w głowę. Migoczące, kolorowe światła karuzeli raziły go w oczy, potęgując nieprzyjemne doznania. Czuł narastający niepokój, a wszechobecny hałas utrudniał mu zrozumienie słów wykrzykiwanych przez bawiące się dzieci. Nie rozumiał tego, co dzieje się wokół niego. Ze strachu skulił się i zatykając uszy, zaczął krzyczeć. Przejściuszka zobaczyła, że aura Chłopca stała się niemal granatowa. W pośpiechu zaprowadziła go do Domku Wyciszenia, w którym dzieci odpoczywały po szalonych zabawach. Po chwili aura zaczęła znowu robić się niebieska. Chłopiec uspokajał się. Wróżka popatrzyła na niego z czułością i zaczęła zastanawiać się, co jeszcze mogłaby zrobić dla tego Chłopca.

- *Czy rytuały odprawione na Magicznym Wzgórzu pomogą osłabić Niebieską Aurę?* – myślała.

Najtrudniejsze było to, że Chłopiec od samego początku nic do niej nie mówił, nie odpowiadał na jej pytania. Jedyną jego reakcją był krzyk po przybyciu do Osady. Zamyślona Wróżka otworzyła swoją Magiczną Księgę Zaklęć i Czarów, którą zawsze miała przy sobie. Choć nazywała się dość szumnie, to tak naprawdę była małą, niepozorną książeczką. Przejściuszka zajrzała do niej i zaczęła wertować pożółkłe karteczki zapisane wyblakłym atramentem. Księga miała już kilkaset lat i była najcenniejszą rzeczą, jaką Wróżka otrzymała od swojej Wróżki Mentorki. Po chwili poszukiwań spojrzała na stronę zapisaną drobnymi zawijaskami. Był to przepis na Magiczny Elixir Mowy. Składniki na Elixir były bardzo łatwe do zdobycia. W zasadzie wszystko, czego potrzebowała, rośło wokół niej na łące.

W czasie, kiedy Wróżka zbierała potrzebne rośliny, Tęczowy Chłopiec poszedł na plac zabaw. Przyglądał się z daleka bawiącym się dzieciom. Jednak po chwili poczuł, że znowu zaczynają go boleć oczy i głowa. Nagle z wielkiej zielonej zjeżdżalni, która kształtem przypominała ślimaka, zjechał z radosnym okrzykiem nieznanemu mu chłopiec. Wylądował tuż obok. Przez chwilę przyglądał się Chłopcu, który siedział nieruchomo na ziemi, lekko machając rączkami, jakby się wachlował.

- *Chcesz się ze mną pobawić?* - zapytał przyjaźnie chłopiec ze zjeżdżalni.

Tęczowy Chłopiec jednak nic nie odpowiedział. Wyglądał na zamyślonego i pewnie nawet nie usłyszał pytania. Po chwili chłopczyk uznał, że chyba jednak nici z zabawy, więc pobiegł dalej na



ślimakową zjeżdżalnię. Chwilę później Chłopiec ocknął się z zamyślenia i zaczął liczyć niebieskie szczebelki wszystkich drabinek w parku wspinaczkowym, który mieścił się obok placu zabaw. Chłopiec był tak pochłonięty liczeniem, że kompletnie nie zwracał uwagi na innych.

- Hej, jesteś tu nowy? Pobawisz się z nami? - zapytały dzieci, ale Tęczowy Chłopiec nic nie odpowiedział. Szeptał tylko pod nosem: 245,246,247,248 ... Wreszcie jedna z dziewczynek podeszła do niego i potrząsnęła Chłopcem, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę. W tej samej chwili w jego głowie pomieszały się liczby. Ciąg niebieskich szczebli rozsypał się i stworzył w jego głowie wielki chaotyczny stos. Dziewczynka wpatrywała się w niego, czekając na odpowiedź lub jakąkolwiek reakcję. Nagle zdezorientowany Chłopiec dostrzegł na ręce dziewczynki zegarek. Nie wiedział, co to jest, ale zafascynowało go to urządzenie. Dziewczynka to zauważyła:

- Dostałam go od mamy. Mam już 8 lat i znam się na zegarku. Zobacz, tu są godziny i minuty a tu nawet sekundy! - w jej głosie można było wyczuć dumę - Teraz mamy godzinę 12.15, a to znaczy, że za 45 minut będzie godzina 13.00!

Tęczowy Chłopiec nadal wpatrywał się w zegarek dziewczynki i wyglądał na nieobecnego.

W jego głowie tworzyły się kolejne ciągi liczb i równań:  $15+45=60$  a 12.00 i 13.00 to godzina, więc między 12.00 i 13.00 jest 60 minut, a to znaczy, że między 11.00, 12.00, 13.00, 14.00, 15.00, 16.00, 17.00 i 18.00 też jest po 60 minut.  $60+60=120$  minut, czyli 2 godziny...

W taki właśnie sposób zrozumiał pojęcie czasu oraz znaczenia godzin i minut.

- Chodź Emilka, on jest jakiś dziwny. Chyba nie chce się z nami bawić! - zawołały do dziewczynki jej koleżanki. Chłopiec spojrział na odchodzące dzieci. W tym momencie godziny i minuty rozsypały się w jego wyobraźni.

Nieco zmęczony Chłopiec znalazł kolejne miejsce po Domku Wyciszenia, w którym poczuł się bezpiecznie. Odpoczywał, leżąc zawinięty w zwisającym z chmury kokoniku - huśtawce. Było tu cicho i spokojnie. W jego głowie swobodnie tworzyły się piękne ciągi liczb, miary czasu, wagi....

- Mam coś dla Ciebie - Wróżka pojawiła się obok niego znikąd, burząc wyobrażone ciągi liczbowe.

- Czy ta Wróżka musi zawsze pojawiać się tak nagle i przeszkadzać mi w liczeniu? - złościł się w myślach Chłopiec.

Wróżka trzymała w rękach małą buteleczkę, którą odkręciła i podała Chłopcowi z uśmiechem.

- To Elixir Mowy, który zrobiłam specjalnie dla Ciebie - powiedziała. - Wypij go, abyś nauczył się mówić i mógł rozmawiać ze swoją Mamą, gdy już ją odnajdziemy w Mieście Ludzi. Gdy Elixir zadziała, będziesz mógł w różnych sytuacjach powiedzieć, że coś sprawia ci trudność, a wtedy inni ludzie będą cię rozumieli i ci pomogą.



Eliksir miał smak soku jabłkowego. Chłopiec wypił go ze smakiem, a następnie zaczął jeść przygotowany przez Wróżkę posiłek.

- *Odpoczęliśmy nieco oboje i zebraliśmy siły, więc gdy tylko zjesz, wyruszymy w dalszą drogę.*

Wróżka popatrzyła z zadowoleniem, jak Chłopiec zjada ze smakiem, pokrojony w drobne kwadraciki, kotlet schabowy. Pamiętała o tym, że posiłki dzieci podobnych do Chłopca powinny być bardzo starannie przygotowane. W tym wypadku każdy kawałek kotleta musiał mieć równe brzegi i jednolicie przylegającą panierkę.

Chłopiec skończył jeść. Eliksir Mowy, według przepisu z Magicznej Księgi Zaklęć i Czarów, powinien zacząć działać niedługo po wypiciu. Wróżka obserwowała dziecko, ale nie zauważyła, aby cokolwiek się zaczęło w nim zmieniać. Nadal było milczące, a jego Niebieska Aura, będąca blokadą w kontaktach z innymi ludźmi, wciąż była mocnego koloru. Zgodnie z przepisem, Eliksir uruchamiając umiejętność porozumiewania się mową, powinien także nieco osłabić Niebieską Aurę.

Wróżka wzięła Tęczowego Chłopca za rękę i ruszyli w stronę wyjścia z Osady Grzecznych Dzieci. Wielkie Czekoladowe Drzwi pośrodku Wysokiego Wafelkowego Muru posiadały z tej strony zamek na klucz. Nie było kodów i trudnych zadań do wykonania. Wróżka idąc spokojnie w ich kierunku, opowiadała Chłopcowi o drodze, jaką teraz będą musieli przebyć do Magicznego Wzgórza. Tęczowy Chłopiec wpatrywał się w zamek i zastanawiał, jaki klucz musi do nich pasować. Jego rozmyślenia przerwała Emilka, posiadaczka niesamowitego zegarka, która stanęła mu na drodze.

- *Szkoda, że musisz już iść...* - powiedziała, patrząc na niego przyjaźnie. - *Chciałabym, żebyś to przyjął* - powiedziała, wskazując na swój nadgarstek. Wzięła rączkę Tęczowego Chłopca i założyła mu swój zegarek. Chłopiec od razu zaczął wpatrywać się w cyfry pokazujące czas na wyświetlaczu.

Kiedy podeszli do bramy Wróżka otworzyła swoją torbę, aby wyjąć z niej klucz. Jak każda kobieta miała w niej bardzo dużo potrzebnych rzeczy, przez które musiała przebrnąć, aby go znaleźć. Zajęta szukaniem nie zauważyła, że Tęczowy Chłopiec, obserwując ją od jakiegoś czasu, wyciągnął rękę w jej stronę. Na jego twarzy widać było napięcie. Wyglądał, jakby próbował coś powiedzieć i szukał odpowiedniego... SŁOWA. Wróżka wiedziała, że to TEN moment. Eliksir Mowy zaczynał działać!

- *DAJ KLUCZ* - Chłopiec wypowiedział powoli dwa proste słowa.

- *Proszę...* - odpowiedziała wzruszona Wróżka i podała odnalezione wreszcie klucze.

Chłopiec umieścił je w zamku drzwi i skupił się całkowicie na ich prawidłowym przekręceniu. Po chwili usłyszeli zgrzyt zamka i drzwi się otworzyły. Wróżka odruchowo chwyciła za klamkę, aby je szerzej otworzyć, ale Chłopiec zareagował bardzo gwałtownie.

- *Ja o to to !!!* - krzyknął, wyrывая klamkę z ręki Wróżki, która odsuwając się na bok, zrozu-

miała, że Chłopiec chce wykonywać samodzielnie pewne czynności. Kiedy zamknął za nimi drzwi, ruszyli spokojnie w dalszą drogę.

Minęło kilka godzin. Wąska, kręta i kamienista droga wiodła wciąż pod górę, nie dając chwili wytchnienia. Wróżka wiedziała, że są już blisko Magicznego Wzgórza, bo pod koniec droga robiła się jeszcze bardziej stroma i uciążliwa. Tęczowy Chłopiec wędrował dzielnie obok Wróżki. Wciąż nie mówił za wiele, ale zdarzało mu się już powiedzieć pojedyncze słowa, jeśli czegoś potrzebował np. „PIĆ”. Drogę urozmaicał sobie, licząc szyszki i przydrożne kamienie:

- *Sześć tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt siedem* – powiedział, kiedy dotarli na szczyt po wyczerpującej drodze.

Magiczne Wzgórze sprawiało wrażenie mistycznej skały zawieszanej wśród chmur. Na jego środku znajdowała się Skalna Magiczna Grota, w której odbywały się rytuały. Promienie Słońca otulały ją, a ona lśniła, jakby była cała pokryta złotem. Wszystko to tworzyło niesamowity, magiczny klimat.

Wróżka podeszła wraz z Chłopcem do podnóża Groty. Teraz widać było mały otwór u jej szczytu, przez który do wnętrza wpadała strużka promieni słonecznych. Przenikając przez otwór, oświetlała wnętrze Magicznej Groty, tworząc wewnątrz piękną, świetlistą aurę. Gdzieś tam pojawiały się na niej kolorowe smugi, co dodawało jej magicznego uroku. Wróżka Przejściuszka posadziła Tęczowego Chłopca na środku Groty tak, aby oświetlały go promienie słoneczne. Następnie zaczęła przygotowania do odprawiania rytuałów.

W tym czasie chłopiec rozglądał się wokół siebie. Na ścianach Groty były namalowane symbole przedstawiające oko, ucho, serce i głowę. Obok każdego z tych symboli były tajemnicze znaki. Kiedy Wróżka usiadła obok Chłopca, po swojej lewej stronie położyła otwartą Księgę Zaklęć i Czarów, a po prawej cztery woreczki. Na każdym z nich narysowany był pojedynczy symbol odpowiadający tym, z wnętrza groty. Przejściuszka wzięła do ręki pierwszy woreczek z symbolem ucha i otworzyła go. Z jego wnętrza, w górę uniosło się trochę srebrnego pyłu. Symbol ucha wraz z tajemniczymi znakami na ścianie Groty zaśnił złotym kolorem. Wróżka unosząc woreczek z pyłem nad głowę Chłopca, zaczęła wypowiadać magiczne zaklęcia. Delikatnie nałożyła dłoń z zawartością woreczka na uszy chłopca. Po chwili wzięła do ręki drugi woreczek z symbolem serca, a następnie głowy i oczu – nakładając je na części ciała Chłopca odpowiadające symbolom z woreczków. Podczas odprawianych rytuałów wszystkie symbole na ścianach Magicznej Groty lśniły jasnym, złotym blaskiem, podkreślającym doniosłość chwili. Wróżka patrzyła, jak promienie Słońca opływają ciało Tęczowego Chłopca. Kolorowe mgiełki wirowały wokół niego, raz mieszając się, to znowu wracają

na swoje miejsce. Wszystkie z tych lekkich, magicznych chmurek przenikały przez Niebieską Aurę Chłopca, która z każdą minutą zdawała się coraz bardziej blednąć. Kiedy wreszcie stała się jasnobłękitna, wówczas kolorowe mgiełki zaczęły się zmniejszać i stawały się coraz bledsze, aż w końcu zniknęły w promieniach słonecznych, pozostawiając wokół Chłopca jasnobłękitną aurę. Kiedy Tęczowy Chłopiec ocknął się, zauważył, że może swobodnie spojrzeć Wróżce w oczy. Dostrzegł także uśmiech na jej twarzy, a następnie go odwzajemnił.

Wyczerpana rytuałami Wróżka potrzebowała odpoczynku. Usiadła w cieniu jabłoni, która rostała obok Magicznej Groty. Obserwowała roześmianego Chłopca biegającego boso po zielonej łące. Jego aura była teraz ledwie widoczna. Cztery rytuały, które odprawiła, kosztowały ją bardzo dużo energii, ale widok szczęśliwego Chłopca wynagradzał jej wszystko. Dzięki rytuałom jego zmysły nie były już tak wyostrzone, jak wcześniej. Od tej chwili mógł ze spokojem słuchać otoczenia, a światło nie było już dla niego tak jaskrawe. Dużo trudniejsze były rytuały głowy i serca, których efekty działania miały być widoczne, dopiero gdy dotrą do Miasta Ludzi. Wróżka miała nadzieję, że Chłopiec nie będzie już taki zamknięty. Pragnęła, aby potrafił wyrażać swoje potrzeby oraz rozumieć intencje i zachowania innych ludzi.

Kiedy Wróżka odpoczywała, Chłopiec biegał po łące roześmiany jak nigdy dotąd, bawiąc się z Kolorowym Motylem. Ten podlatywał do niego, co chwilę siadając na ramieniu, jednak kiedy Chłopiec wyciągał do niego rękę, Motyl odfruwiał. Wtedy Chłopiec ze śmiechem gonił go, co z daleka wyglądało jak zabawa w berka.

- *Bawią się jak fajne rodzeństwo* – pomyślała Wróżka i uśmiechnęła się, zapadając w zasłużoną drzemkę.

O świcie byli już gotowi do dalszej drogi. Tęczowy Chłopiec szedł z Wróżką Przejściuszką, trzymając ją za rękę i wesoło podśpiewując.

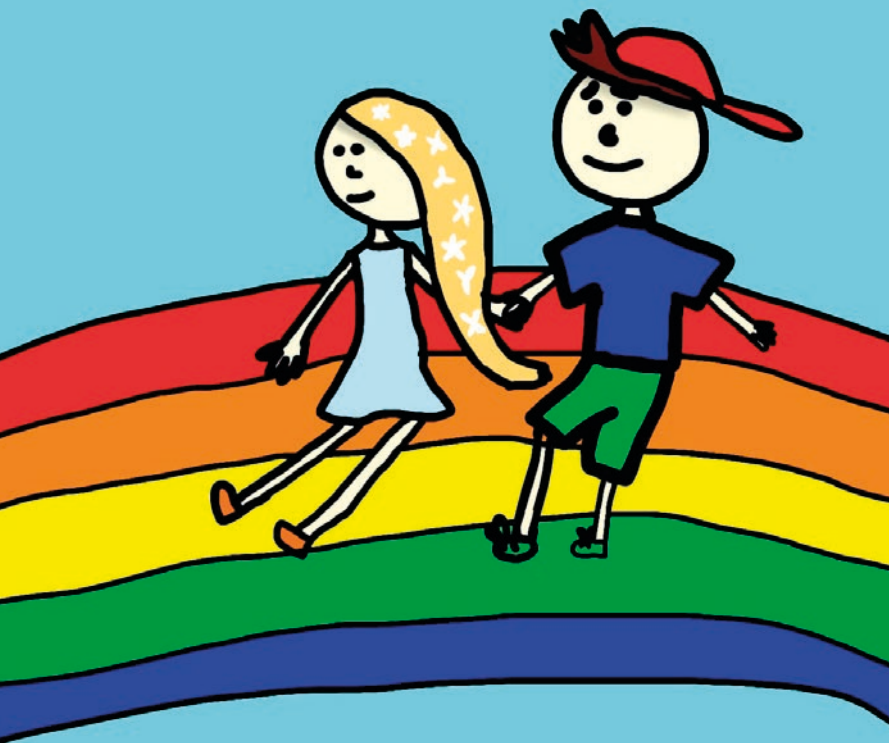
- *Wróżko Przejściuszeko* – chłopiec na chwilę spoważniał. - *Kiedy zjeżdżałem po tęczowej zjeżdżalni to była ze mną Dziewczynka, która trzymała mnie za rękę, bo bałem się ciemności. Potem nagle zniknęła, nawet nie wiem kiedy. Widziałaś ją może?*

- *Tak, widziałam ...* – odparła wróżka, prowadząc chłopca w kierunku przewróconego pnia drzewa.

- *Choć, usiądziemy na chwilę, coś Ci opowiem.*

Kiedy oboje usiedli, Wróżka objęła Chłopca i zaczęła opowiadać.

- *Widzisz, Wróżka Przejściuszeko zajmuje się także odprowadzaniem Dzieci na Drugą Stronę Słońca. Czasami na świat przychodzą dzieci, które są tak bardzo chore, że lekarze z Miasta Ludzi nie potrafią im pomóc i wtedy ja odprowadzam je właśnie na Drugą Stronę Słońca. Te dzieci, gdy już wiedzą, że czas odejść*



czują się zagubione i nie wiedzą, gdzie mają pójść. Wtedy pojawiają się przy nich i pomagają im przejść. Stają się wówczas Słonecznymi Dziećmi. Na Ziemi mogą pojawiać się tylko pod postacią Kolorowego Motyla. Każde Słoneczne Dziecko może jeden raz wyruszyć na Drugą Stronę Tęczy i sprowadzić na Ziemię wybrane przez siebie Tęczowe Dziecko.

- Po Drugiej Stronie Tęczy jest ciemno i trochę się bałem - powiedział Chłopiec.

- Ta Dziewczynka trzymała mnie za rękę i cały czas uspokajała. Czuję się przy niej bezpiecznie i mogłem z nią rozmawiać tak jak teraz z Tobą.

- Tak, bo wtedy nie miałeś jeszcze swojej Niebieskiej Aury - odparła Wróżka Przejściuszka, głaszcząc go czule po głowie z lekkim uśmiechem.

- Ona pojawiła się dopiero podczas waszej podróży i sprawiła, że po przybyciu na ziemię nie mogłeś rozmawiać. Widziałeś wszystko w o wiele ostrzejszych barwach, a hałas bardzo Cię drażnił.

- Znasz tę Dziewczynkę? Dlaczego ona musiała odejść na Drugą Stronę Słońca? - zapytał Chłopiec niepewnie.

- Widzisz... - Wróżka przytuliła mocniej Chłopca - aby móc normalnie żyć w Mieście Ludzi, bawić się i biegać,

każde dziecko potrzebuje zdrowego, silnego serduszka. Ty masz całe serduszko. Ta Dziewczynka miała go tylko pół i mimo wysiłków lekarzy było ono zbyt słabe, aby mogła dalej żyć. Pewnego dnia te jej malutkie pół serduszka po prostu się zatrzymało...

Wróżka przerwała na chwilę i patrzyła na Chłopca, który z uwagą wsłuchiwał się w jej opowieść – *Wtedy pojawiłam się przy niej. Wzięłam za rączkę i przeprowadziłam na Drugą Stronę Słońca, gdzie stała się szczęśliwą i zdrową Słoneczną Dziewczynką. Ona także po jakimś czasie wyruszyła na Drugą Stronę Tęczy i wybrała właśnie Ciebie na nowe Tęczowe Dziecko.*

Chłopiec siedział zamyślony, analizując z uwagą opowieść Wróżki Przejściuszki. Siedzieli tak chwilę w milczeniu. Chłopiec wpatrzony w dal i Wróżka, która wciąż go obejmowała cierpliwie, czekając na dalsze pytania.

– *Czyli ta Dziewczynka też może zamieniać się w Kolorowego Motyla? – zastanawiał się głośno Chłopiec. – Pamiętam, że gdy byliśmy na Magicznym Wzgórzu Kolorowy Motyl, bawił się ze mną w berka. Kilka razy usiadł mi na dłoni i wyglądało to tak, jakby się w ogóle nie bał. Na polanie, po moim przybyciu, taki sam Kolorowy Motyl siedział zamknięty w mojej dłoni.*

– *Tak, to bardzo możliwe, że ten Motyl to była ta sama Dziewczynka, która Cię przyprowadziła – Wróżka patrzyła zamyślona na oddalone drzewa. – Bardzo rzadko się zdarza, aby Słoneczne Dzieci tak opiekowały się przyprowadzanymi przez siebie Tęczowymi Dziećmi. Od początku naszej wspólnej wędrówki często widzę koło Ciebie Kolorowego Motyla. Po tym, jak widziałam wczoraj waszą zabawę na łące, nabrałam pewności, że jest to właśnie ta Słoneczna Dziewczynka, która z jakiegoś powodu, pomimo tego, że już cię przeprowadziła przez tęczę – wciąż jest obok Ciebie.*

Posiedzieli jeszcze trochę w milczeniu. Był piękny, słoneczny dzień. Przyroda wokół zachwycała swą różnorodnością. Gałęzie zielonych drzew szumiały lekko na wietrze. Nieopodal, na łące lato namalowało piękny, kolorowy dywan z kwiatów. Ptaki radośnie świergotały wokół. Gdy Wróżka i Chłopiec nabrali sił, wyruszyli w dalszą drogę. Chłopiec co jakiś czas rozglądał się, ale nigdzie nie widział Kolorowego Motyla.

Było późne popołudnie, gdy z daleka zobaczyli rozświetlone jasną łuną Miasto Ludzi. Choć już zbliżał się wieczór, miasto wciąż tętniło życiem, a z oddali słychać było szum jeżdżących samochodów i gwar ludzkich rozmów. Wróżka spojrzała na jasnobłękitną aurę Chłopca i czuła, że jest on gotowy na spotkanie z Mamą.

Schodzili w stronę wejścia do Miasta Ludzi, zbliżając się coraz bardziej do dużych Niebieskich Drzwi. Chłopiec szedł wpatrzony w ziemię.

– *Od pnia drzewa, na którym siedzieliśmy do tych niebieskich drzwi leżało 596 dużych szyszek i 862*



małych – uśmiechnął się do Wróżki i spojrzął w kierunku drzwi.

– *Ooo! Ja chcę otworzyć!* – powiedział i pobiegł w ich kierunku.

Gwar i jasny blask miasta natychmiast zalały ich i porwały niczym rwąca rzeka. Zewsząd było słychać głośne rozmowy, hałasujące dzieci, warkot silników przejeżdżających aut. Chłopiec zatkał uszy, ale już nie krzyczał. Wróżka sięgnęła do swojej przepastnej torby i wyjęła specjalne, niebieskie słuchawki.

– *Proszę...* – powiedziała, zakładając mu je na uszy. – *Jeszcze przez jakiś czas ich używaj, gdy będziesz czuł, że jest za głośno.*

Hałas miasta zmniejszył się natychmiast i Chłopiec nie musiał już zatykać uszu. Wróżka wzięła go za rękę i ruszyli dalej wzdłuż deptaka, który prowadził do skweru z małą fontanną pośrodku. Było to urocze miejsce w sercu miasta. Mieszkańcy lubili wieczorami przychodzić tu na spacer. Skwer nie przypadkiem nazywał się Zaułkiem Róż. Wokół fontanny rosły okazałe krzewy wielobarwnych roślin, przyciągających swym zapachem rzesze owadów. Stało też kilka ławek, na których można było odpocząć. Słychać było rozmowy, ale nie było tak głośno, jak wtedy, kiedy weszli do Miasta Ludzi. Tęczowy Chłopiec zdjął więc słuchawki. Lekki hałas nie przeszkadzał mu i mógł teraz, tak jak inni, wsłuchiwać się w spokojny szum fontanny czy wieczorny śpiew ptaków.

Stojąca przy fontannie kobieta w jasnej sukience odwróciła się powoli i spojrzała w ich kierunku. Jej wzrok zatrzymał się na Tęczowym Chłopcem. Kolorowy Motylek pojawił się znikąd i usiadł na jego ramieniu, by po chwili wzlecieć do góry. Zawisł przed nim w powietrzu i zdawał się czekać, aż Tęczowy Chłopiec zacznie iść w jego kierunku. Kiedy tak się stało, Motyl podleciał do kobiety przy fontannie i usiadł jej na dłoni. Kobieta popatrzyła na niego, odwróciła się i uśmiechnęła do Tęczowego Chłopca.

– *Mama...* – powiedział i przytulił się do niej. Kiedy Kolorowy Motyl powoli zaczął wzbijać się w górę, Mama z Chłopcem patrzyli na niego tak długo, dopóki nie zniknął w promieniach zachodzącego słońca. Po policzku Mamy spłynęła łza, którą otarła ukradkiem.

– *Cieszę się, że wreszcie jesteś synku* – powiedziała, nadal przytulając Chłopca. – *Od teraz już będziemy razem.*

– *Czy ten Kolorowy Motyl jeszcze tutaj wróci?* – zapytał Tęczowy Chłopiec, wpatrując się w zachodzące słońce.

– *Ten Kolorowy Motyl odwiedza mnie bardzo często odkąd twoja starsza siostrzyczka Serdusia odeszła na Drugą Stronę Słońca* – w oczach Mamy ponownie było widać łzy. – *Bardzo za nią tęsknię, ale wierzę, że jest tam szczęśliwa i zdrowa. Zawsze, gdy myślę o Serdusi, pojawia się Kolorowy Motyl. Wtedy tłumaczę*

sobie, że to Ona odwiedza nas i sprawdza, czy u nas wszystko w porządku – Mama uśmiechnęła się ciepło i ucałowała Chłopczyka w główkę.

Słońce zniknęło już za horyzontem, a w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było na niebie pozostały już tylko kolorowe czerwono-pomarańczowe smugi, jakby namalowane pędzlem artysty. Miejskie latarnie oświetlały Miasto Ludzi, które powoli szykowało się do snu. Nadchodziła noc. Gdzieś w oddali rozległ się grzmot.

- Na mnie już czas – Wróżka Przejściuszka podeszła do Tęczowego Chłopca i jego Mamy.

- Dziękujemy ci Wróżko Przejściuszko – powiedziała Mama. - Bez Ciebie Kuba nie trafiłby do Miasta Ludzi. Zrobiłaś dla naszej rodziny bardzo dużo...

- Od tego jest Wróżka Przejściuszka – odparła skromnie, uśmiechając się. Grzmot w oddali powtórzył się i z daleka widać było błyskawicę przesywającą granatowe niebo.

- Mam już mało czasu – powiedziała.

- Żegnaj Wróżko – Kuba wtulił się mocno w jej ramiona. - Dziękuję...

Wróżka uściskała Chłopca. Cieszyła się, że udało jej się przyprowadzić kolejne Tęczowe Dziecko do Miasta Ludzi. Chociaż przez lata odniosła wiele takich sukcesów, to cały czas rozstania ze swoimi podopiecznymi przeżywała bardzo emocjonalnie. Powstrzymując łzy, pomachała Mamie i Kubie na pożegnanie a następnie odeszła w stronę Niebieskich Drzwi. Za nimi czekała ją długa wędrówka do miejsca, gdzie po burzy powstanie tęcza i zjawi się kolejne Tęczowe Dziecko z Kolorową Aurą. Będąc już przy Niebieskich Drzwiach, odwróciła się ostatni raz. Zobaczyła, że do Kubę i Mamy dołączył Tata, Siostra i Brat, którzy pomachali jej na pożegnanie.

Kiedy Wróżka zamknęła za sobą Niebieskie Drzwi do Miasta Ludzi, stanęła i zamyśliła się przez chwilę. Z lekkim niepokojem zamknęła oczy i zaczęła przywoływać obrazy z przyszłości. Po chwili zobaczyła, jak Tęczowy Chłopiec bawi się ze swoim rodzeństwem, poznaje przyjaciół i jak bardzo jest szczęśliwy. Zobaczyła, jak to niesamowite dziecko każdego dnia udowadnia, że z Niebieską Aurą można normalnie żyć w Mieście Ludzi...

- *Dzielny chłopak. Da sobie w życiu radę* – pomyślała Wróżka i szczęśliwa ruszyła w stronę tworzącej się powoli tęczy.





## Królicze przygody małego Wiktorka

Dawno, dawno temu, za Baranią Górą, za rzeką Odrą, za niezliczoną ilością pól, dróg i drózek, pewien przydomowy ogródek stał się schronieniem dla wyjątkowych gości. Mieszkały w nim króliczki, które miały małe królicze domki, a w domkach małe królicze mieszkanki, a każde małe królicze mieszkanko miało małe królicze pokoiki. Każdy mały króliczy pokoić miał małe królicze okienko z małą króliczą klameczką. Obok każdego małego króliczego okienka znajdowały się małe królicze drzwiczki, które również miały małe królicze klameczki, pod którymi znajdował się mały króliczy zameczek z małym króliczym kluczykiem. W każdym małym króliczym pokoiku stały małe królicze sprzęty: małe królicze łóżeczka, a przy nich małe królicze szafeczki. Na małych króliczych szafeczkach stały małe królicze lampeczki, obok których odkładano małe królicze książeczki. W tych małych króliczych mieszkankach mieszkwały wcale niemałe królicze rodziniki, ale nie o nich będzie ta bajka.

Bajka będzie o małym Wiktorku, wyjątkowym króliczku, który otrzymał wątpliwej urody dar od złej wróżki zwanej De Novo. Króliczek świadomie nigdy by go nie wybrał, ale nie miał na to najmniejszego wpływu. „Dar” ten sprawiał, że kiedy nasz bohater skakał po polach i łąkach, w poszukiwaniu nowej przygody często upadał, tak po prostu i bez powodu. A o staniu na jednej łapce, nie było w ogóle mowy! Bywało i tak, że jednego dnia wesoto biegał, a kolejnego już nie mógł wstać o własnych siłach. Jego małe królicze ciało zachowywało się jak nieścięta jeszcze galaretką truskawkowa, którą zresztą Wiktorek bardzo lubił. Z tą dolegliwością króliczek koniecznie chciał wygrać i walczył codziennie, nie tracąc nadziei na lepsze jutro. Czasem też króliczek, kiedy mówił, zaciął się jak nie wyrobiony jeszcze zamek błyskawiczny w jego nowej kurteczce. A jakby tego było mało, jego drobne serduszko, choć bardzo chciało bić miłością do wszystkich, ledwo mogło nadążyć z pracą dla jednego małego, ubranego w mięciutki futerko króliczego ciało. Mama Wiktorka, chcąc go pocieszyć, mawiała nieraz, że z „akacją mu do twarzy” (znaczy do pyszczka), chociaż... chłopiec nie był pewien czy dobrze zapamiętał nazwę swojego rzadkiego „daru”. Tak czy

inaczej, sił do walki dodawała mu mama - na różne sposoby usprawniała jego małe ciało, ukradkiem roniąc przy tym całkiem niemałe łzy. Żyli więc sobie z dnia na dzień, radząc sobie czasem lepiej, a czasem gorzej.

Pomimo niechcianego daru, Wiktorak był szczęśliwym dzieckiem. Jednak do pełni szczęścia brakowało mu najważniejszego - króliczego rodzeństwa. Często myślał o tym, że jak tylko będzie w lepszej kondycji, to może tym razem los na jego drodze postawi wymarzone małe królicze rodzeństwo, którego tak bardzo pragnął swoim małym króliczym serduszkami...

- *Mamusiu, chciałbym braciszka* - oznajmił pewnego razu.

- *Rozumiem, ale to nie taka łatwa sprawa* - odpowiedziała królicza mama. - *Sam wiesz, że na Ciebie musieliśmy czekać długie lata i będzie nam trudno spełnić twoją prośbę. Jednak jeśli koniecznie potrzebujesz towarzystwa na już, to jest inne rozwiązanie. Możesz sam sobie stworzyć braciszka.*

- *Ale jak?* - zapytał mały króliczek.

- *We własnej wyobraźni* - odrzekła królicza mama - *Wystarczy, że zamkniesz oczy, wyobrazisz sobie jego wygląd, a potem nadasz mu imię i zobaczysz, że ożyje.*

Nie czekając chwili dłużej, mały króliczek Wiktorak zamknął swoje małe królicze oczka, a w nich zobaczył małe królicze kolorowe punkciki. Pojawiały się i znikwały, po to, by ponownie pojawić się w innym kolorze albo miejscu. Wirowały, podskakiwały, przesuwały się, w prawo i w lewo, w górę i w dół, sklejały się, tworząc obraz małego króliczka. Punkciki układały się teraz jeden obok drugiego coraz szybciej i szybciej, aż wszystkie na dobre przyłgnęły do powstającej postaci. Był to mały śliczny króliczy braciszek. Wiktorak postanowił nazwać go Steward. Był młodszy od króliczka Wiktoraka i wszędzie mu towarzyszył, siedząc na jego ramieniu lub w kieszonce jego małych ubranek. Czasem też, kładł się po prostu w jego bujnej czuprynce na samym czubku głowy, skąd miał najlepszy widok. Spali razem w małym króliczym pokoiku, w małym króliczym łóżeczku i razem oglądali małe królicze książeczki. Jedli z małych króliczych miseczek, siedząc na małych króliczych krzeselkach przy małym króliczym stoloczku, oczywiście jedząc małymi króliczymi sztuczkami. Właściwie wszystko robili razem.

Chodzili też razem do najlepszego króliczego żłobka, zwanego Krainą Skrzatów. A tam, jak to w każdym cudownym żłobku bywa, bawili się w niekończącą się przygodę. Po zabawie i smacznej zupce, kiedy przychodził na to czas, królicze opiekunki kładły małe królisie do małych króliczych łóżeczek w małej króliczej salce - usypialce. Wszystkie króliczki ślicznie i szybkoitko wtedy zasypiały pod małymi króliczymi kołderkami i spały tak, aż do pobudki na drugą część obiadku. Tylko jeden z nich nie umiał zasnąć mimo tego, że przytulał się do swojego króliczego braciszka. Pani Królisio-

wa wymyślała więc wiele sposobów na wyciszenie Wiktoraka. Śpiewała kotysanki, głaskała go po małej króliczej główce. Jednak żaden z nich nie działał skutecznie. Małe królicze oczka Wiktoraka co prawda zamykały się, jego oddech się wyrównywał i każdy wówczas powiedziałby, że ten mały króliczek z pewnością śpi. Myśląc tak samo, Pani Królisiowa wychodziła z małej króliczej salki - usypialki i wtedy jak za dotknięciem różdżki oczy małego króliczka Wiktoraka się otwierały. Otwierały się też oczka jego braciszka Stewarda i już razem w najlepsze wędrowali ku małym króliczym drzwiczkom z małą króliczą klameczką, za którymi znajdował się cudowny świat żłobkowej zabawy i oczywiście jego, a właściwie ich, ukochana królisiowa opiekunka, ciocia Marta. Ta czarująca królisiowa oraz inne królisiowe ciocie, pozwalały im bawić się, kiedy pozostałe małe króliczki odpoczywały. Czasem też mały króliczek Wiktorak ze swoim młodszym braciszkiem Stewardem pomagali w porządkowaniu zabawek.

Pewnego razu, kiedy małe królicze oczka Wiktoraka po raz kolejny z niezliczonych razy otworzyły się i dwa małe króliczki powędrowały ku małym króliczym drzwiczkom przygody, powstała Stewardka.

- *Jak do tego doszło?* – zapytacie.

W tradycyjny, punkcikowy, fantazyjny sposób.

- *Ale dlaczego?* – będziecie dociekać. A to dlatego, że kiedy mały króliczek ze swoim braciszkiem, zamiast leżakować w swoim małym króliczym łóżeczku, powędrowali na salę zabaw i bawili się w policjantów i złodziei, najzwyczajniej w świecie, zabrakło im jednego aktora. Jeden z chłopców był policjantem, drugi złodziejem, ale czasami potrzebny był drugi policjant lub złodziej. Bez względu na potrzebę była kolejna mała królicza postać! W główce małego króliczka otworzyła się furteczka do ogrodu fantazji i w kilka chwil, w znany nam już sposób miała „narodzić się” kolejna postać... Tym razem jednak punkciki układały się bardzo powoli. Leniwie płynęły z góry w dół i tam pozostawały, te z dołu wspinały się ku górze i także znajdowały od razu swoje miejsce. Natomiast te z lewej i prawej strony, popłynęły do środka. Kilka z nich tylko wróciło na boki i nie zmieniło już swojego położenia. W taki oto powolny sposób powstała śliczna mała królisiowa dziewczynka o imieniu Stewardka. Była oczywiście młodszą siostrzyczką małych króliczych chłopców. Pomimo różnicy wieku mogła nauczyć ich bardzo wiele. Przede wszystkim dobroci, mądrości oraz cierpliwości, którą obdarzona została dzięki powolnemu powstawaniu w wyobraźni Wiktoraka. W czasie zabaw, w roli policjanta była doskonałym detektywem. Zawsze doprowadzała złodziei przed wymiar sprawiedliwości, a gdy ona była złodziejem, prawie zawsze uchodziła cało z policyjnej zasadzki. Kiedy natomiast złapano ją na gorącym uczynku, darowano przewinienia i uwalniano. Zresztą wybaczenie



Stewardce nie było trudne. Każdy, kto tylko na nią spojrział, widział w niej przeuroczą małą króliczą dziewczynkę. Mądrą, dobrą i najpiękniejszą na świecie.

Lata mijały. Pomimo posiadanego „daru” mały króliczek Wiktorek wyrósł na całkiem sporego, króliczego chłopczyka. Rostło też jego wyobrażone rodzeństwo, które wraz z Wiktorkiem, poszło do przedszkola, a stamtąd do małej króliczej szkoły.

Pierwszego dnia szkoły do sali wszedł mały króliczek Wiktorek w swoim ulubionym garniturku, ze Stewardką w kieszonce marynarki oraz Stewardem na czubku głowy. Nikogo to nie śmieszyło, ponieważ nikt poza Wiktorkiem i jego rodzicami nie był w stanie zobaczyć wyobrażonego rodzeństwa. Czasem tylko spotykali na swojej drodze kogoś, kto też rozumiał świat fantazji i wtedy takiej osobie przedstawiali tych wyjątkowych członków rodziny.

Z upływem czasu, małe wyobrażone rodzeństwo, zaczęło jednak chadzać jak kotki, własnymi drogami. I już nie zawsze towarzyszyli króliczkowi Wiktorkowi w jego przygodach. Dlatego też Drogi Czytelniku, nie bądź zdziwiony, że już w naszej opowieści nie będzie mowy o wyobrażonym rodzeństwie naszego bohatera.

Wróćmy jednak do szkolnej sali. Tam właśnie, w dniu rozpoczęcia roku szkolnego, mały króliczek Wiktorek poznaje drugiego małego króliczka Danielka. Usiedli obok siebie, całkiem przypadkiem, a następnie, gdy rozdawano rogi obfitości i wszyscy zostali wywołani na środek sali, Wiktorek i Danielka po prostu stanęli obok siebie. I tak obok siebie, ramię w ramię, oczywiście w towarzystwie innych małych króliczków, przeżyli wiele wcale „niemałych” wspólnych przygód. A oto jedna z nich...

- *Co tutaj tak ciemno?* – zapytał mały króliczek Danielka.

- *I dlaczego tak dziwnie się przechylamy?* – dodał Wiktorek. – *Gdzie my właściwie jesteśmy?*

- *Coś szumi... Słyszę śmiech* – zauważył Danielka. – *Ale zaraz, zaraz... To chyba nie śmiech, tylko głos mew! Pamiętasz? Taki sam głos wydawały, gdy puszczałyśmy latawce na plaży!*

- *Tak, to z pewnością mewy* – potwierdził mały króliczek Wiktorek i podsumował. – *A mewy, równa się morze i brzeg.* – Po chwili namysłu, dodał. – *Ale nie byliśmy..., nie jechaliśmy przecież nad morze. Bawiliśmy się w zjazdy nakrętkowe...*

Tutaj, należy się Tobie, Drogi Czytelniku wyjaśnienie, że zjazd nakrętkowy możliwy do wykonania jest tylko w odpowiednich warunkach, a mianowicie z odpowiednio dużej sterty zebranych nakrętek po plastikowych butelkach, zgromadzonych w wielkich torbach. I właśnie to robiły dwa małe króliczki, zanim znalazły się tam, gdzie się znalazły.

- *No właśnie* – odezwał się Danielka. I po chwili w zadumie dodał – *Zjazdy nakrętkowe...*

- Jakie to dziwne, dotąd taki zjazd zawsze kończył się na trawie. A tutaj ciemno i dziwnie... - powiedział Wiktorek.

- Tylko nie mów, że pachnie - kategorycznie ostrzegł go Danielek.

- Właściwie, to śmierdzi. - zauważył Wiktorek. - I nadal nie wiemy, gdzie jesteśmy.

- Wiemy, że nas kotysze, a mewy zdradzają bliskość morza i brzegu, ale co my tu robimy?

- zastanawiał się głośno Danielek.

- A może to nam się tylko śni? Uszczypnij mnie. Auuu! Boli! - krzyknął mały króliczek Wiktorek, gdy drugi mały króliczek rzeczywiście go uszczypnął.

- To rzeczywistość - stwierdził z powagą Danielek.

- I niestety, dość ciemna... Dostłownie ciemna i śmierdząca - dodał Wiktorek. - Ale jest też dobra strona tej sytuacji. Jesteśmy tu razem. Mogło być przecież gorzej. Mogliśmy trafić tu osobno. Razem zawsze raźniej!

- Tak, ale to i tak nie zmienia naszego położenia - powiedział Danielek.

- Przecież siedzimy - zauważył Wiktorek, bo rzeczywiście siedzieli.

- Nie rozumiesz. Siedzenie to też położenie, to znaczy znajdowanie się gdzieś - tłumaczył cierpliwie Danielek, gdy nagle usłyszeli nad sobą czyjś ryk.

- Na pokład! Dawać mi ich! Przyprowadzić mi tu tych dwóch gagatków, beczelnych nicponi!

Królicze dzieci usłyszały zgrzyt przekręcanego klucza i odgłos otwieranej kłódki. Nagle w pomieszczeniu zrobiło się jasno, a to za sprawą kwadratowej dziury w suficie. Wtedy dotarło do nich, gdzie się znajdują, a mianowicie pod pokładem statku. W tej samej chwili wpadające promienie słońca oświetliły dwie istoty, które też znajdowały się z nimi pod pokładem. Były to dwa małe pie-



ski, które wcześniej niezauważone siedziały na krzeselkach, związane sznurkiem zamknięte w klancek. Na klancekach widniały napisy: Nelson oraz Magnum. W klanceczce opisanej jako Nelson, znajdował się malutki biały piesek w łatki koloru kawy z mlekiem. Wydawałby się zwykłym małym pieskiem w łatki. Jednak był to piesek niezwykły. On po prostu nie był świadomy swoich rozmiarów. Nelson był pieskiem okropnie walecznym i zadziornym. Nie darował nikomu, nawet na dużego psa potrafił warknąć, szczeknąć, a nawet ugryźć. Co prawda za ledwie w tylną łapkę, bo do innych części ciała po prostu nie sięgał, ale nie tylko to wyróżniało Nelsona spośród wielu piesków tej rasy. Miał on idealnie okrągłą plamkę na ku głowy, która znajdowała się pomiędzy dużymi plamami rozchodzącymi się od same uszy. Obok klanceczki Nelsona stał napisem Magnum. W niej natomiast się piesek trochę inny. Nie tylko innego budowy. Ten był tęży i masywny, ale wieństwie do Nelsona miał płocze uspo- bardzo skryty, bojaźliwy, nieufny a w razie czeństwa – warczał. Warczał bardzo czę- sytuacji dla niego niezrozumiałych, było po- lęku i obrony. Warczał na każdego, kto tyl- zbyt blisko, gdyż nie ufał prawie nikomu. Wiktopek i Danielek nie mogły jednak wów- Nelson i Magnum byli bardzo dobrymi, o ile nie najlepszymi przyjaciółmi. Kiedy znajdowa- li się w sprzyjających dla Magnuma warunkach, figlowali i bawili się w niekończących harcach. Najczęściej zabawę inicjował Nelson. Jak się póź- niej okazało Nelson i Magnum byli najzwyczajesz- mi piratami statku „Ziarenko”, którzy znaleźli się pod pokładem statku za pewne przewinienie.

Lecz jak i za co, pod pokładem znalazły się dwa małe króliczki? Tego nie wiedzieli ani oni sami, ani piraci, którzy otwierając luk bardzo



samym czub-  
dzy dwoma  
oczu, aż po  
ła taka sama  
znajdował  
koloru oraz  
w przeci-  
sobienie. Był  
niebezpie-  
sto, gdyż wiele  
wodem do  
ko zbliżył się  
Małe króliczki  
czas wiedzieć, że



się zdziwili, widząc czterech więźniów, zamiast dwóch, których tam umieścili.

- Szefuńciu, których dwóch gagatków mamy wyprowadzić? – krzyknęli piraci do swojego kapitana.

- Jak to, których! Tych, którzy pożarli, bo nie zjedli przecież, tylko pożarli, moje kabanoski! - odkrzyknął kapitan.

Słyszac to, małe króliczki Danielek i Wiktorak, popatrzyli na siebie i zrobili wielkie oczy. Każdemu z nich przez małą króliczą główkę przebiegła taka sama myśl: *Przecież nie jadłem żadnych kabanosków.* Jednak nie powiedzieli nic z obawy i w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

Strażnicy podeszli do klateczek Nelsona i Magnuma, uwolnili ich i wyprowadzili na pokład. Stamtąd dało się słyszeć kolejne pytanie skierowane do szefa piratów:

- Szefuńciu, a co z tymi dwoma wyglądającymi jak króliki, tam na dole, którzy siedzą na sieciach?

- Idioci! Przecież pod pokład wrzuciliście tylko tych oto dwóch nicponi! – krzyknął kapitan. - A skoro, wyprowadziliście ich, to kto jeszcze może być pod pokładem?

- Ale... - próbował coś powiedziec jeden z majtków pokładowych, kuląc ogon pod siebie.

- Milczeć! Ja tu jestem... kapitanem Mrówką – ale słowo „kapitanem” powiedział już spokojniej, bez krzyku, a nawet z tajemniczym uśmiechem na ustach. W tej właśnie chwili przypomniała mu się legenda, o której opowiadano już wówczas, gdy on sam jeszcze był majtkiem pokładu „Ziarenko”, a której on sam był bohaterem. Nie było jednak na pokładzie już żadnego z braci piratów, którzy znaliby tę legendę. Pozostał tylko on i jego legenda. Mówiła ona o wyjściu z kanału nakrętkowego, który umożliwiał przemieszczanie się między jego statkiem a suchym lądem, na którym akurat znajdowała się duża ilość zebranych nakrętek. Tylko, przy spełnieniu takich warunków, można było przenieść się z lądu na statek i z powrotem. Ogromne ryzyko powstawało, gdy będąc na statku, nie wiedziało się, gdzie teraz znajdują się zebrane nakrętki.

- Jeśli pod pokładem – zaczął wolno Kapitan Mrówka - *rzeczywiście są jeszcze jacyś więźniowie, przesłucham ich po egzekucji.*

Luk się zamknął. I tak małe króliczki Wiktorak i Danielek znowu zostali sami w ciemności. Wiedzieli już, że znajdują się pod pokładem statku pirackiego „Ziarenko”. Wiedzieli też, skąd brał się ten intensywny zapach. Siedzieli bowiem na stercie sieci rybackich, z których okazjonalnie korzystali piraci, robiąc zapasy na dłuższy rejs. Jednak nadal nie wiedzieli, jak się tu znaleźli. Oni nie wiedzieli, ale pirat – kapitan Mrówka już domyślał się, jak mogło do tego dojść. Sam bowiem znalazł się na statku „Ziarenko”, a właściwie pod jego pokładem wiele, wiele lat temu, kiedy zafundował sobie zjazd z ogromnej sterty nakrętek czekających na wywiezienie. Wtedy zjazd ten przeniósł go wprost na statek, jednak na jego nieszczęście, wywiezione nakrętki zamknęły drugie wyjście

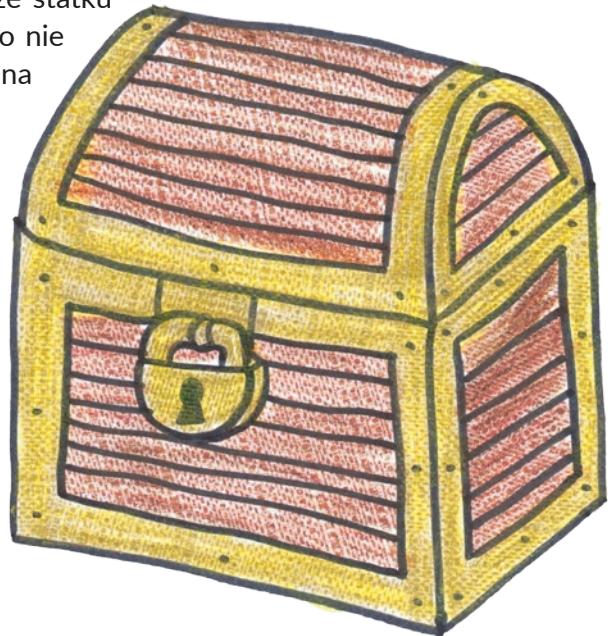
z kanału i uniemożliwiły powrót do domu. Tym sposobem pozostał więc tutaj, na statku. Mijały lata, z braćmi piratami przeżywał różne przygody, ramię w ramię walczyli z rekinami pieskojadami. Z pozycji majtki pokładowego wspiał się na pozycję kapitana zapewniającego bezpieczeństwo całej załodze. Dziwił się tylko, że na suchym lądzie są jeszcze dzieci, którym dla ratowania zdrowia potrzebne są nakrętki. Pamiętał, że dukaty uzyskane z ich sprzedaży dają im możliwość wykupienia opieki syren terapeutek oraz magów zdrowia.

- Przecież nie miało być już żadnych chorób. Chyba jednak coś poszło nie tak. Coś było bardzo nie tak, jak powinno! - dziwił się głośno Kapitan, bo nie wiedział, co działo się na suchym lądzie.

Kapitan na myśl o niespodziewanych gościach na pokładzie poczuł się nieswojo. Był groźnym piratem, ale w sercu i pamięci pozostały wspomnienia przerażenia i zagubienia, kiedy sam znalazł się w sytuacji, w jakiej teraz były małe króliczki Danielek i Wiktorek. Coś ukrytego bardzo głęboko na dnie serca obudziło się w nim i nie dawało spokoju. Była to dobroć, która podpowiadała mu, aby pomóc króliczkom wrócić do domu, póki jest jeszcze na to czas. Wiedział, że gdy zebrane nakrętki zmienią miejsce i zostaną wywiezione do składu, kanał nakrętkowy łączący statek z suchym lądem zamknie się na zawsze. Jeszcze jedna myśl zaświtała w jego głowie, jednak szybko schowała się w cień. Mianowicie sam chciał wyrwać się ze statku i wrócić... ale do czego? Przecież dom królikiowy to nie jego dom. Więc z dwojga złego, chyba lepiej zostać na statku, gdzie jest kapitanem.

Myśl o kanale tak przyćmiła jego uwagę, że nawet nie wiedział, kiedy ułaskawił dwa małe pieski Nelsona i Magnuma, które za jego zachowanie pokochały go miłością dozgonną i obdarzyły ogromnym szacunkiem w miejsce wcześniejszego uczucia nienawiści i ogromnego strachu.

Po zakończeniu czynności związanych z cumowaniem statku „Ziarenko” wyczyszczeniu pokładu i dokonaniu niezbędnych napraw, następował czas na relaks. Starsi piraci szli do tawerny, raczyli się rumiankiem i zajadali się krewetkami, a młodszy świeżo usmażonymi rybkami. Jedli z dużym smakiem w otoczeniu śmiechu mew i szumu



fal. Kiedy starzy piraci wspominali swoje morskie podboje, młodszy pędzili na plażę. Zabawa trwała w najlepsze, gdy słońce świeciło, chmurki leniwie przesuwały się po niebie, a mewy krążyły nad głowami piratów. Nawet fale bezustannie głąskwały piaszczysty brzeg, przychodząc i odchodząc. Ich niezdecydowanie pozostawiało po sobie muszelki, wodorosty i inne skarby morza, które piraci wykorzystywali do budowy zamków z piasku. Wśród wielu zabaw plażowych ulubioną było zasypywanie się piaskiem. Rozpoczynali wtedy zabawę od małych łapek, a kończyli na szyi i ogonku. Tak obsypany pirat po uwolnieniu się z piasku, wstając i się otrzepując, nadal wyglądał jak babka piaskowa, a właściwie jak piaskowy piesek.

Następnie kapitan Mrówka, który zawsze dbał o swoich piratów oraz o to, by mieli co jeść i pić, kazał wszystkim bez wyjątku umyć ząbki, nawet tym, którzy mieli już tylko jeden ząbek. Bardzo chciał, aby swym oddechem nie porazili królowej Julii z Domu nad Morzem, która oczekiwała ich ze swoją tradycyjną naleśnikową kolacją. Dom znajdował się nieopodal przystani. Miał w sobie magiczne ciepło i energię, która w nadzwyczajny sposób przyciągała tych, którzy choć jeden jedyny raz przebywali w jego murach. Budynek ten nie był pałacem, ale był miejscem godnym podejmowania bardzo wymagających gości, jakimi byli piraci.

Kiedy wszyscy piraci bez wyjątku doprowadzali się do porządku i przygotowywali do uroczystej kolacji, kapitan Mrówka, nie mogąc się doczekać rozmowy z króliczkami, wymknął się ze swojego pokoju i powędrował na statek. Tam zszedł pod pokład i wyprowadził króliczki na plażę. Usiedli na piasku i odbyli bardzo poważną rozmowę. Pirat Mrówka najpierw zadawał im mnóstwo pytań. O to, na przykład, jak teraz dzieciom żyje się na suchym lądzie, a szczególnie tym nie w pełni zdrowym oraz ich rodzinom. Dopytał także, jak ludzie traktują nie tylko swoje psy, ale wszystkie zwierzęta domowe. Uzyskawszy odpowiedzi, zdecydował bezwzględnie nie opuszczać statku „Ziarenko”. Tutaj miał wpływ na, to jak im się powodzi i jak wzajemnie się traktują. W rewanżu opowiedział króliczkom wszystko o kanale nakrętkowym i obiecał pomóc im wrócić do domu. Wcześniej jednak zaprosił ich na naleśnikową ucztę do królowej Julii.

Kolacja podana została w przydomowym ogrodzie oświetlonym specjalnymi kandelabrami i świeczkami zapachowymi. Na stolikach ustawiono tradycyjnie karafki wypełnione rumiankiem, półmiski wypełnione po brzegi krewetkami smażonymi na maśle czosnkowym z odrobiną curry, a na wielkich tacach na bieżąco pojawiały się świeżutkie naleśniki, własnoręcznie smażone przez królową Julię.

Podczas kolacji pozostali piraci poznali małe króliczki Wiktorka i Danielka. Tak bardzo je polubili, że nie było mowy o powrocie do ich małych króliczych domków. Tęsknotę króliczków za domem rozumiał natomiast doskonale kapitan Mrówka, który wbrew opinii załogi zdecydował, że pomoże



im wrócić kanałem nakręt-

Po kolacji poszli  
Jednak kiedy zeszedł  
kład ogromnie się  
W miejscu, gdzie  
znajdować się  
kanału nakrętka-  
było niczego! Ka-  
przerażony, choć  
okazywał. Wie-  
wiem, jak prze-  
są króliczki. Sam  
znalazł się w takiej  
Widocznie nakręt-  
miejsce składowa-  
wsze zamknęły kanał  
domu. Kapitan Mrów-  
wszechczasów, był  
bezradny i otwierał  
jakby naśladował  
dząc to małe kró-  
Kiedy tak płakały  
teżki przyjmo-  
re rosły i ro-  
pirackiego,  
wisko. Nie były  
ostudziły nie-

W i -  
P r z y -  
z w i ą -  
w i k l i -  
W t e -



kowym do domu.  
więc na statek.  
pod jego po-  
przerazili.  
powinno  
wejście do  
wego nie  
pitan był  
tego nie  
dział bo-  
r a ż o n e  
k i e d y ś  
sytuacji.  
ki zmieniły  
nia i na za-  
powrotny do  
ka, groźny pirat  
w tym momencie  
tylko buzię bez słowa,  
rybę wyjętą z wody. Wi-  
liczki, po prostu się rozplątały.

i płakały, stała się rzecz niestychana. Spadające  
wały różne kolory i zmieniały się w baloniki, któ-  
sły. Gdy już nie mieściły się pod pokładem statku  
wylatywały ponad pokład i tworzyły cudowne zja-  
wprawdzie tęczę, ale swoimi różnorodnymi kolorami  
przyjemne doznania króliczków.

dząc to kapitan Mrówka, nakazał piratom łapać baloniki.  
szedł mu bowiem do głowy pewien pomysł. Postanowił  
zać ze sobą ogromną liczbę balonów, doczepić do nich kosz  
nowy, a na jego dnie ułożyć wygodne pościeło dla króliczków.  
dy chłopcy, wznosząc się ponad chmury i łącząc się z niebem,

mieliby szansę spotkać w przestworzach namiastkę tunelu, albo chociaż wąską ścieżynkę, stworzoną z promieni słońca i prowadzącą do ich domu.

Lot balonowy króliczków Wiktorka i Danielka opóźniał się niemiłosiernie. Spowodowane to było licznymi uściskami, gdyż każdy pirat osobiście chciał pożegnać każdego z chłopców. Gdy w końcu udało się odsunąć wszystkich od kosza i balonów, z daleka usłyszano jeszcze krzyk królowej Julii, która przybiegła z zapasem naleśniczków na drogę. Tak oto, zabezpieczeni i poinstruowani przez kapitana Mrówkę chłopcy, wyruszyli w drogę do domu. Podróż przebiegała bardzo spokojnie. Lecieli tak, jakby płynęli i podziwiali świat wokół. Mijali lądy i morza, oczarowani różnymi, bajkowymi kształtami chmur, łapali promienie słońca. Ciągłe jednak nie mogli wypatrzeć małego króliczego domu. Oglądane kształtne chmury coraz bardziej zbliżały się do ich baloników i coraz bardziej ich otulały. Jakby same chciały wsiąść do kosza, niczym pasażer na gapę.

Nagle wśród wielu ogromnych chmur pojawił się pierwszy błysk. To piorun, który zwiastował zbliżającą się burzę. Po chwili jednak nie pojawiła się zwykła burza z grzmotami i piorunami. Tym razem rozszalało się istne tornado. W wir swojego leja złapało najpierw jeden balonik, potem następne i już cały króliczy kosz wirował coraz szybciej i szybciej. Baloniki odrywały się jeden po drugim, kosz rozplatał się gałązka po gałązce. Tragedia nadchodziła wielkimi krokami! Przerażone króliczki nie miały się czego złapać! Postanowiły trzymać się wzajemnie za rączki. Razem zawsze raźniej! Ledwo złapały się, a cały kosz i wszystkie baloniki rozpierzchły się w wirującym leju tornado. Króliczki ścisnęły więc dłonie jeszcze bardziej, ponieważ czuły, że spadają.

Spadały tak i spadały, mając wrażenie, że lecą coraz szybciej. Kiedy już miały upaść na ziemię, okazało się, że każdy z nich wylądował wprost we własnym małym króliczym łóżeczku, obok którego stał mały króliczy stoliczek, z małą króliczą lampeczką. Otwierając oczy, zdziwieni chłopcy spojrzeli na owe stoliczki, na których stały małe królicze talerzyki z naleśnikami. U każdego z nich takie same, chociaż przecież mieszkali w innych króliczych domkach.

- *Czy to był tylko sen?* – obaj jednocześnie zastanawiali się, leżąc w swoich łóżeczkach.

Obaj też, w tej samej chwili dostrzegli małą karteczkę leżącą pod talerzykiem z naleśnikami. Kiedy każdy z nich z osobna ją przeczytał, zrozumiał, że obaj przeżyli przygodę swojego życia.

Drodzy Chłopcy,

*kiedy czytacie ten liścik, zapewne jesteście już bezpieczni w swoich domkach i zastanawiacie się nad tym, co Wam się przytrafiło. Ta przygoda pokazała wam jak przyjaźń, wsparcie oraz nadzieja, nawet w sytuacji bez wyjścia, potrafią zdziałać cuda. Dbajcie więc o ten dar, jakim jest Wasza przyjaźń. Swojego przyjaciela darzcie szacunkiem, a wtedy zawsze będziecie mieć przy sobie osobę, która Was wesprze. Moc przyjaźni potrafi pokonać wiele przeciwności losu, o czym osobiście się przekonaliście.*

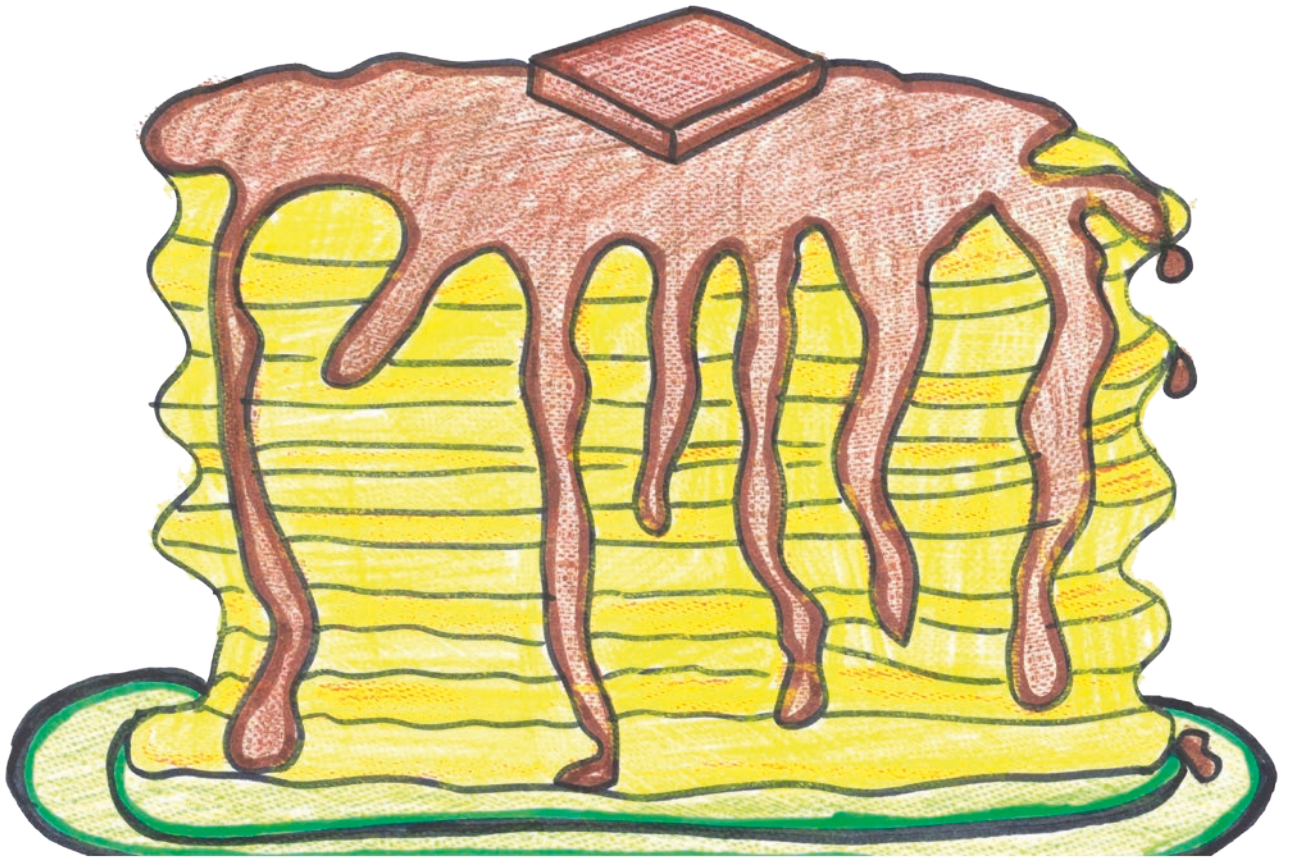
*Ahoj, Kapitan Mrówka*

Kiedy nastał ranek, mały króliczek Wiktorek otworzył oczka i przeciągnął się leniwie.

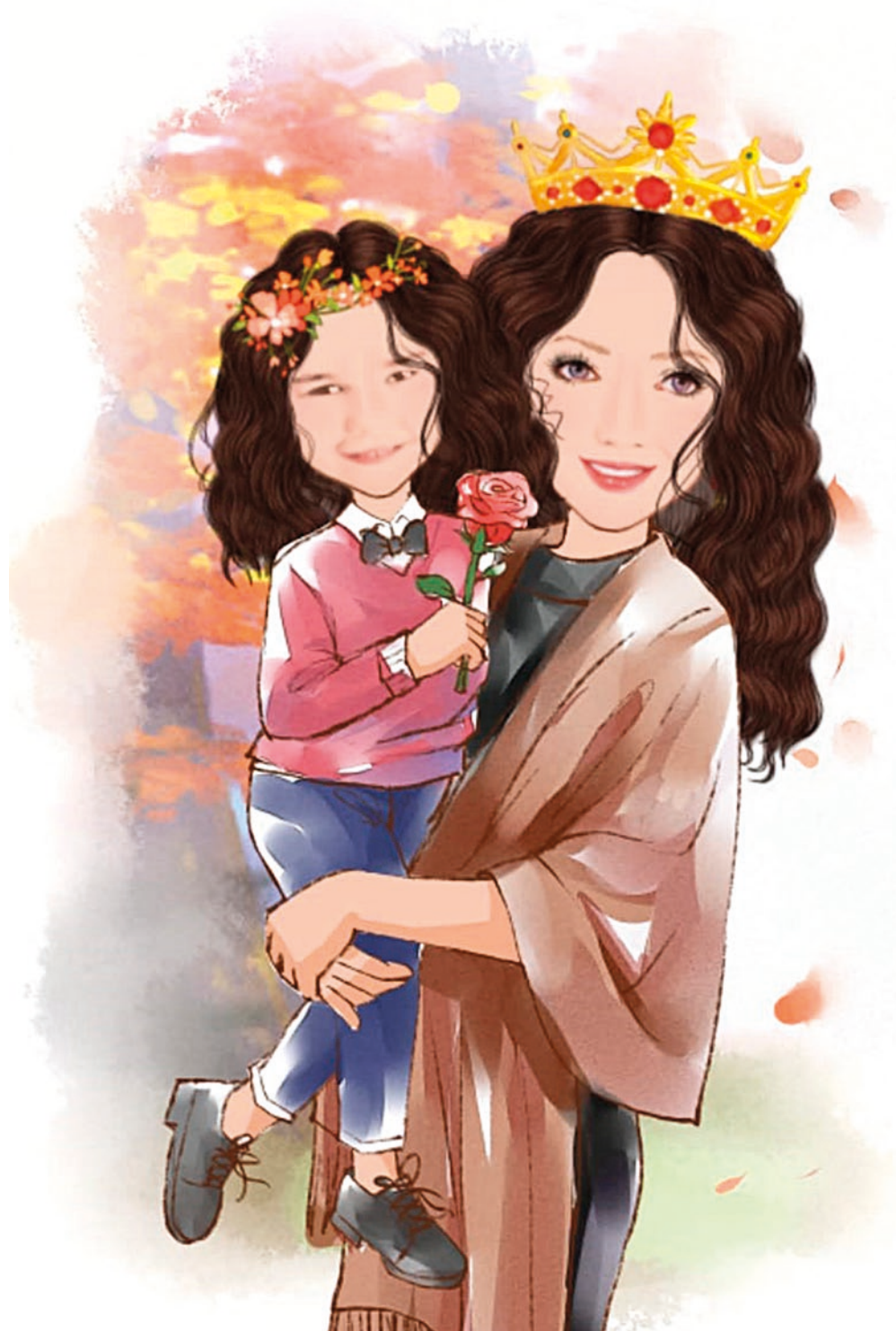
- Wiktorku, Wiktorku, jedziemy na turnus rehabilitacyjny! - nagle usłyszał rozradowany głos króliczej mamy. - Udało nam się sprzedać nakrętki!

Gdy mama obwieściła tę radosną nowinę, jej wzrok powędrował w kierunku małego stoliczka.

- O, a skąd tutaj wzięły się te pysznie wyglądające naleśniki?







## Wojownicza Księżniczka Oliwia

Za górami, za lasami, w krainie pięknej zieleni i stawów, znajdowało się małe królestwo. Ludzie żyli tam w zgodzie i miłości, o co bardzo dbała Królowa Marzena wraz z Królem Markiem. Władcy królestwa byli bardzo dobrzy dla wszystkich, za co ich szanowano i lubiano. Para królewska miała syna, Księcia Maciusia, wesołego chłopca o wielkim sercu, który kochał zwierzęta, przyrodę i nie bał się pomagać słabszym. Zawsze był tam, gdzie go potrzebowano, a za jego dobre serce kochano go w całym królestwie.

Pewnego dnia ogłoszono, że Królowa Marzena spodziewa się dziecka. Wszyscy z niecierpliwością czekali na dzień narodzin i kiedy wreszcie rodzina królewska powitała na świecie małą Księżniczkę, radość ogarnęła mieszkańców całego królestwa. Nadano jej imię Oliwia. Na jej cześć, Król Marek wydał uroczyste przyjęcie dla wszystkich poddanych. Mieszkańcy królestwa przynosili dary, wróżki magiczne życzenia a zwierzęta zaglądały przez okna. Radości nie było końca. To był wspólny dzień.

Nieoczekiwanie jednak pojawił się nieproszony gość, Zła Królowa z odległych moczarów. Los nie był dla niej łaskawy. Przez swoją dumę i żelazne serce, straciła rodzinę i wygnano ją z królestwa. Swoją obecnością nie wróżyła niczego dobrego. Na jej widok nagle zrobiło się ponuro i cicho. Zamykano w pośpiechu okna i drzwi. Z ukrycia spoglądano, gdzie idzie i co się zaraz wydarzy. Zła Królowa, ku przerażaniu wszystkich, zmierzała w kierunku małej Księżniczki. Spostrzegłszy to Królowa Marzena, rzuciła się w kierunku kotycki, aby przytulić swoją córeczkę. Niestety, matczyzna miłość nie zdołała uchronić dziecka przed zamiarem, z jakim przybyła Królowa z moczarów. Kiedy zajrzała do kotycki i zobaczyła małą dziewczynkę o pięknych niebieskich oczach, wpadła w złość. Ufna i niczego niespodziewająca się Księżniczka zaczęła się do niej uśmiechać, co jeszcze bardziej ją rozżłościło. Wokół kotycki zerwał się silny wiatr, a kruki towarzyszące Królowej zarzuciły na nią czarną płachtę. Nikt nie mógł się ruszyć z miejsca, żeby je powstrzymać. Królowa sypnęła na koty-



skę złotym pyłem, wypowiedziała zaklęcie i oddaliła się w pośpiechu.

Królowa Marzena przepłakała całą noc, tuląc w ramionach swoją małą córeczkę. Towarzyszył jej Król Marek i Księżę Maciuś. Nie wiedzieli, jaki los czeka ich małą Księżniczkę, ani jak będzie dalej wyglądało ich życie.

Mijały miesiące. Wszyscy w królestwie żyli w zgodzie i miłości. Król Marek pomagał poddanym i zajmował się królestwem, a Królowa Marzena od narodzin córeczki nie spuszczała jej z oczu. Spała z nią, karmiła, bawiła się, przebierała i bacznie obserwowała, jak dziewczynka powoli rosta i stawała się coraz piękniejsza. W codziennych obowiązkach pomagał jej Księżę Maciuś, który był z Oliwią bardzo zżyty.

Księżniczka Oliwka od pierwszych chwil swojego życia była bardzo pogodnym, roześmianym i energicznym dzieckiem. Wszyscy ją podziwiali za wdzięk, urodę, piękne kręcone włosy i duże niebieskie oczy. Pomimo tego, że była jeszcze bardzo malutka, potrafiła swoim uśmiechem rozgrzać serca innych. Była ulubienicą mieszkańców królestwa, będących świadkami rzuconego zaklęcia. Każdy z nich wiedział, że kiedyś nastanie dzień, w którym klątwa zacznie działać, ale nikt głośno o tym nie mówił.

Pewnego wieczoru, trzyletnia Księżniczka Oliwia bardzo płakała. Królowa była bezradna. Przytulała, nosiła na rękach, ale nic to nie pomagało. Wezwano lekarzy królewskich, aby ulżyli jej w cierpieniu. Niestety, i oni byli bezradni. W końcu dziewczynka zmęczona płaczem usnęła. Kiedy Księżniczka obudziła się rankiem, okazało się, że jej ciało stało się bezwładne. Starano się ją posadzić, ale jej ciało opadało jak sparaliżowane. Królowa załamała ręce. Wysłała gońców do innych królestw, prosząc o pomoc najlepszych lekarzy. Niestety, w królestwie Katarzyny lekarze bezradnie rozkładali ręce. Nie wiedzieli jak pomóc małej Księżniczce. W królestwie Anny pojawiła się nadzieja. Lekarze dali wskazówki, gdzie szukać leku na uśmierzenie bólu, który nie opuszczał Księżniczki. Tym zadaniem zajęł się Księżę Maciuś. Nie czekając chwili, wsiadł na konia i pojechał szukać Strażniczki lasu, która miała pomóc.

Po długiej nocy udało mu się odnaleźć Strażniczkę lasu. Księżę Maciuś opowiedział jej historię swojej siostrzyczki, prosząc o pomoc. Wszyscy okoliczni mieszkańcy znali królestwo i dobroć, jaka tam panowała. Strażniczka lasu, bez chwili wahania, powierzyła Księżciu sekret, jak może odnaleźć magiczną roślinę i w jaki sposób przygotować leczniczą miksturę.

Kiedy nastąpiła noc Księżniczka Oliwka znów zaczęła płakać z bólu. W tym czasie księżę Maciuś jechał już na swym koniu w kierunku Góry Świętej Anny, żeby zerwać Kwiat Jednej Nocy. Po dostarczeniu go do Zielarki królewskiej zrobiono z niego napar, który Królowa podała Księżniczce



do wypicia. Pozostałym wywarem posmarowano jej całe ciało, aby uśmierzyć wzmagający się ból. W ten sposób, dzięki pomocy brata Księżniczka Oliwka mogła, chociaż na krótką chwilę zapomnieć o trapiących ją dolegliwościach. I znowu, powoli zaczęła się uśmiechać...

Wszyscy mieszkańcy królestwa starali się ulżyć Księżniczce. Mały Elfik Mateusz próbował ją rozśmieszać, ale w głębi serca było mu bardzo żal małej Oliwki leżącej w łożku. Postanowił jej pomóc i skonstruował dla niej wózek. Wziął krzesło z sali bankietowej, doczepił kółka, obłożył poduszkami i zawiózł do komnaty małej Księżniczki. Królowa zdumiała się na widok tej niecodziennej konstrukcji. Nakazała służbie posadzić Księżniczkę na wózku. Oliwka nie wiedziała do czego on służy. Jednak kiedy zaczęła się na nim ruszać, niechcący wprawiła także w ruch koła wózka. Po kilku dniach była już bardzo sprawna w jego obsłudze. To sprawiło, że wróciła do niej radość życia. Jeżdżąc po całym królestwie, zapominała o bólu i czuła w sobie nową energię. Wszyscy się radowali na widok uśmiechniętej dziewczynki, jednak matczyne serce wciąż było przepełnione troską o zdrowie jej dziecka. Wraz z doradcami, magami i znamienitymi zielarzami próbowała usunąć klątwę nałożoną przez Złą Królową. Nie wiedziała jednak o tym, że każdego dnia Królowa z moczarów wysyła do królestwa swoje kruki, które obserwują ich postępy...

Odkąd klątwa zaczęła działać, Król Marek przesiadywał całymi dniami w swojej komnacie lub pracował od świtu do nocy z poddanyami. Nie chciał, aby ukochane dziecko widziało cierpienie na jego twarzy oraz bezradność, jaką czuł w obliczu tej tajemniczej choroby. Nie potrafił poradzić sobie z myślami o bólu, z jakim musiała mierzyć się jego córeczka. Może myślał, że w ten sposób jej pomoże? Nie zmieniła się natomiast Królowa, dzięki której w królestwie dalej panowała dobroć, zrozumienie i miłość. Mając wielkie serce, zawsze wyciągała pomocną dłoń do wszystkich a ta dobroć do niej wracała. Zmienił się jednak obraz Królowej Marzeny w oczach jej poddanych. Nie była już dla nich jedynie Królową, ale Matką-Siłaczką, która walczy o zdrowie swojej córki. Była to jednak nierówna walka, w której Zła Królowa, wykorzystując swoje moce, niweczyła wszelkie próby zdjęcia nałożonej klątwy.

Pewnego dnia Królowa Marzena postanowiła zawieść Księżniczkę Oliwkę i Księcia Maciusia do „Błękitnej Laguny”. Było to miejsce wróżek i elfów, gdzie mieszkały matki chrzestne wszystkich królewskich dzieci. Po dotarciu do Laguny zostali bardzo ciepło przyjęci. Książę Maciuś był zauroczony pięknem tego miejsca, a Księżniczka Oliwka, poruszając się na swoim wózeczku, od razu zaczęła bawić się ze zwierzątkami, jakie przebywały w tym bajecznym miejscu. Tymczasem Królowa Marzena prowadziła rozmowy z matkami chrzestnymi, prosząc o pomoc dla swojej małej Księżniczki. Po wspólnej naradzie Wróżka Małgorzata wzięła Księżniczkę na rękę, aby zobaczyć



jak funkcjonuje. Spoglądając przyjaźnie, starała się ocenić, z czym sobie radzi, a gdzie występują problemy. Po dogłębnym zastanowieniu obwieściła plan działania. Królowa Marzena uwierzyła, że w tym miejscu Oliwka poczuje się lepiej i nauczy się więcej niż w królestwie. Wspólnie z Królem postanowili, że matka z Oliwką zostaną jakiś czas w „Błękitnej Lagunie”, a księżę Maciuś wróci do królestwa i pomoże ojcu. I tak się też stało.

Mijały dni. Księżniczka Oliwka zaczęła robić coraz większe postępy. Wróżka Marta była nią zauroczona, gdyż dziewczynka uwielbiała wykonywać wszystkie, nawet bardzo skomplikowane ćwiczenia. Na początku, siadając na skorupie żółwia, pracowała nad utrzymywaniem równowagi. Syrenka Beata wraz z delfinami uczyła Księżniczkę pływać w wodach Laguny, a wróżka Sylwia podwieszała Oliwkę na lianach zwisających z drzew i huśtała nad powierzchnią wody. W ten sposób pracowała nad stabilizacją niesfornego ciała. Po kilku dniach dołączyła do ćwiczeń wróżka Joasia. Zaprosiła Księżniczkę do zabawy ze swoimi zwierzętami, przywracając Oliwce w ten sposób czucie w rękach.

Przełom nastąpił po kilku tygodniach. Księżniczka Oliwka za ciężką pracę ze swoim ciałem i postępy, jakie zrobiła dostała od Wrózek pięknego białego konia. Zadaniem wróżki Marty było nauczenie Księżniczki poruszania się na tym dostojnym zwierzęciu. Nie było to łatwe zadanie, ale Oliwia z determinacją i siniakami na całym ciele starała się opanować tę trudną sztukę jazdy konnej. Wreszcie, ciężka praca wróżki Marty zaczęła przynosić efekty i Oliwia osiągnęła swój cel. Od tego czasu mogła samodzielnie przemieszczać się poza granice królestwa. Królowa Marzena była bardzo dumna ze swojej córeczki, która pomimo bólu i przeciwności losu niestrudzenie walczyła o odzyskanie władzy nad swoim ciałem.

Zła Królowa oczami swoich zwiadowczych kruków stale obserwowała wszystkie osiągnięcia dziewczynki i jej szczerą radość. Z biegiem czasu zamiast złości, która zazwyczaj wypełniała jej zimne królewskie serce, zaczęła czuć w sobie dawno zapomniane uczucia. Jak to możliwe, że ta mała istotka, na którą przed laty rzuciła klątwę, potrafi przewycięzać ból i cierpienie z uśmiechem na twarzy? Zła Królowa zaczęła odczuwać podziw nie tylko dla małej Księżniczki, ale i jej matki, która z miłością i oddaniem wspierała ją każdego dnia. Powoli, do Królowej docierało, że to co robiła do tej pory, nie przynosiło jej ulgi. Zadawany innym ból, który pozbawił ją wyższych uczuć, sprawił, że czuła się jeszcze bardziej obca i samotna. Patrząc na radość niewinnego dziecka, poczuła, że w jej sercu zaczyna się tlić tęsknota za swoimi dziećmi i rodziną, którą opuściła z powodu zranionej dumy.

Po pewnym czasie Królowa Marzena i jej córka opuściły Błękitną Lagunę, ruszając w powrotną drogę do swojego zamku. Księżę Maciuś wraz z Królem Markiem wyszli naprzeciw ze łzami





w oczach. Poddani przywitali je gromkimi brawami. Byli zdumieni, jak Księżniczka pięknie prezentuje się i jeździ na koniu. Dziewczynka wprawdzie nie odzyskała władzy w nogach, ale potrafiła poruszać się wszędzie samodzielnie. Zaczęła też pięknie śpiewać i grać na harfie, a towarzyszące jej motyle i ptaki dopełniały obrazu radosnej dziewczynki. Księżniczka Oliwka była szczęśliwa.

Po powrocie matki i córki do domu w królestwie zapanował jeszcze większy ład i spokój. Ojciec nadal zajmował się królestwem, a Książę Maciuś pomagał małej Księżniczce, zdobywając Kwiat Jednej Nocy uśmierzający jej ból. Królowa Marzena ciągle była oddana swojej córce. Jeździła z Nią konno do 'Błękitnej Laguny' na dalsze ćwiczenia. Pewnego dnia wracając od wrózek, Oliwka oddaliła się konno od Królowej. Zobaczyła sarny z jeleniem i pojechała za nimi urzeczona widokiem tych pięknych zwierząt. Królowa, nie mogąc znaleźć Księżniczki, wróciła do zamku, żeby wezwać pomoc. W tym samym czasie Księżniczka dogoniła sarenki i jelenia. Jednak nie mogła się nimi cieszyć, bo zaraz uciekły w gęsty las. Nagle jej koń zaczął być niespokojny. Nie wiedząc o tym, że jest obserwowana przez Złą Królową, próbowała uspokoić zdenerwowane zwierzę. Wtem zobaczyła czarną postać. Ponieważ nie знаła zła i przemocy zapytała przyjaźnie:

- Zgubiłaś się w lesie tak jak ja?

- Wybacz mi to, co ci zrobiłam - zaczęła tajemniczo postać. - Byłam chodzącym złem, a nie człowiekiem. Zazdrościłam wszystkim ich życia. Nie rozumiejąc, czym jest miłość, oddanie, rodzina i poświęcenie, chciałam za wszelką cenę zabrać innym to, czego sama nie potrafiłam stworzyć.

- Dlaczego mam ci wybaczyć? Nie znam cię - odpowiedziała zaskoczona Księżniczka.

- Rodzice nie mówili ci o mnie? - kobieta zdziwiła się. - Jestem Złą Królową z moczarów. To ja rzuciłam na Ciebie klątwę i to przeze mnie nie możesz chodzić. Chciałam, żeby twoi rodzice cierpieli, tak jak ja na tych bezdusznych, zimnych mokradłach - zamyśliła się przez chwilę. - Byłam zaślepiona zazdrością o wasze szczęście. Obserwowałam was i widziałam, jak twoja matka poświęcała się dla Ciebie, jak z miłością i oddaniem walczyła o twoje zdrowie. A ty waleczna Księżniczko! Pomimo tego, że żyjesz w ciągłym bólu, potrafiłaś osiągnąć tak wiele... Zrozumiałam co to miłość, poświęcenie dla innych i rodzina.

- Nie muszę ci niczego wybaczać - odpowiedziała Oliwia - Sama chyba już rozumiałaś swoje błędy. Nie znam innego życia niż na wózku czy koniu. Jest mi tak dobrze. Jestem szczęśliwa i kochana przez wszystkich.

Dziewczynka spojrzała na zmęczoną twarz kobiety.

- Królowo wróć do rodziny i napraw swoje błędy. Bądź dobra i miej serce otwarte dla wszystkich.

- Jestem tu już od tak dawna, że nawet nie pamiętam drogi do domu - powiedziała cicho kobieta.

- Wyrzuć z siebie złość i nienawiść, a wtedy odnajdziesz tę drogę. Wróć do naszego królestwa, moi ro-



dzice wybaczą ci zło, które wyrządziłaś, a ja pokażę ci, że każdą klątwę można przewyciężyć swoją walką i determinacją. Zobaczysz, że nadejdzie taki dzień, kiedy na własnych nogach zatańczę na balu w zamku. Już dzisiaj cię na niego zapraszam - odpowiedziała uśmiechnięta Oliwka.

- Waleczna Księżniczko o anielskim wyglądzie, masz czyste serce i dobrą duszę. Dziękuję ci za piękne słowa. Tak bardzo chciałabym cofnąć czas, ale nie mogę. Życzę ci wytrwałości i żebyś zawsze była sobą. Jesteś wojownikiem dobra i wzorem do naśladowania. Ruszam w drogę. Do zobaczenia - pożegnała się Królowa.

- Do widzenia Królowo. Pamiętaj o tym, że to, co dajesz innym, wraca do Ciebie ze zdwojoną siłą - powiedziała na pożegnanie Księżniczka, odjeżdżając na koniu.

Zanim Królowa zebrała ludzi do pomocy w poszukiwaniu córki, Księżniczka dotarła do zamku cała i zdrowa. Książę Maciuś zdjął ją z konia i posadził na wózku, a wtedy dziewczynka opowiedziała o spotkaniu z tajemniczą postacią. Początkowo wszyscy byli przerażeni jej historią. Po chwili jednak lęk ustąpił dumie z wielkiego serca, jakie okazała Złej Królowej Waleczna Księżniczka Oliwia.

Kocham Cię Moja Księżniczko  
Mama



## Rodzinka Feliksiątek z Doliny Grudki

Na skraju miasta, wśród pięknych kwiatowych pól, stał mały zielony domek.

Codziennie rano do jego okien pukały promienie wschodzącego słońca, budząc jego domowników. Gdy to nie pomagało, z pomocą przylatywały ptaki, które kołując tuż nad kominem, śpiewały poranną melodię, dobrze znaną tutejszym mieszkańcom Doliny Grudki.

Domek zamieszkiwała bardzo wesoła i kochająca się rodzina Feliksiątek. Każdy z jego członków zaangażowany był w jakieś zadanie. Najstarszy z rodu Feliksiątek nosił imię Rudolfin i był wszechstronnie utalentowany. Miał wielkie niebieskie oczęta i pukle kręconych siwych włosów, które – gdy zawiął wiatr – falowały na czubku głowy. Jego ręce były tak silne, że potrafił podnosić znaczne ciężary, nie męcząc się przy tym wcale. Rudolfin z wielką przyjemnością majsterkował w swoim przydomowym warsztacie. Potrafił zamykać się tam na kilka godzin i tworzyć prawdziwe dzieła. Jego ulubione hasło brzmiało:

*- Niczego nie wyrzucaj! Zawsze możesz to ponownie wykorzystać -* i ku uciesze mieszkańców Doliny Grudki nadawał starym rupieciom drugie życie, często piękniejsze od poprzedniego.

Rudolfin chętnie służył swą pomocą innym, którzy prosili go o wsparcie podczas budowy swoich domów, czy ogrodzeń. Był bardzo zmyślny i gdy tylko na coś spojrzął, już wyobrażał sobie końcowy efekt swojej pracy. W niedzielne popołudnia z przyjemnością przejmował obowiązki w kuchni, bowiem jego zamiłowaniem było pieczenie ciast. Wystarczyło parę swojskich jaj, trochę mąki z młyną, świeżego miodu od dzikich pszczół i wiejskiego masła, a unoszący się w powietrzu zapach pieczonego ciasta zapraszał gości z pobliskich domostw.

Rudolfin miał piękną żonę o imieniu Jolita. Miała blond włosy i nosiła na nosku okrągłe okulary. Jej oczęta były mocno wyczerpane, bowiem każdego dnia czytała przeróżne artykuły z lokalnej gazety. Jolita pracowała w klinice, nieopodal ich domku. Była bardzo uczynna, miała ogromną wiedzę na temat leczenia i różnego zastosowania ziół. W zbudowanej przez Rudolfiną kuchni gotowała, co

tylko dusza zapragnie, a smak potraw długo pozostawał na podniebieniach domowników. W ogrodzie pielęgnowała owocowe drzewka, uprawiała warzywa i przyprawy, z których później powstawały smakowite posiłki. Rodzinka miała także łaciatego pieska o imieniu Paulita.

Pewnego poranka na kuchennym blacie małżeństwo znalazło figurkę bociana. Od razu zorientowali się, że w ich rodzinie pojawi się pierworodny wnuk lub wnuczka. Wszyscy z radości zaczęli podskakiwać, śpiewać i tańczyć. Rudolfin od razu zaczął planować miejsce, w którym zamieszka nowy członek rodziny. Poruszony radosną nowiną pojechał do tartaku po deski, kupił śruby, gwoździe, farby i na parę dni zamknął się w swoim warsztacie. Reszta rodziny niecierpliwie czekała na efekt jego pracy.

- *Gotowe!* - zawołał wreszcie najstarszy z rodu Feliksiątek.

Gdy otworzyły się drzwi do pokoju, Patifinka (czyli ich córka, a przyszła mamusia) zaniemówiła z wrażenia. W środku stało ręcznie rzeźbione brązowe łóżeczko. Tuż obok przewijak oraz komoda, a na ścianie powstał rysunek kolorowego wesołego miasteczka. Jolitka uszyła niebieskie franki, a ciocia Justyfinka przygotowała kącik czytelniczy. Wszystko prezentowało się elegancko. Brakowało jeszcze jednego ważnego elementu dla potomka, ale o tym również pamiętali przyszli dziadkowie. Rudolfin zostawił tę niespodziankę na sam koniec. Gdy wszyscy wyszli na podwórze, ujrzeli cudowną karocę. Na dużych napompowanych oponach i metalowej konstrukcji stała niebieska gondola. Tak, to był wózek, w którym miał odpoczywać najmłodszy z rodziny. Patifince z zachwytu popłynęły tzy po policzkach. Wyściskała rodzinę i zmęczona emocjami poszła się położyć.

Od tego dnia codziennie ze mną rozmawiała. Choć mnie, nie widziała, bo mieszkałam jeszcze w jej brzuszku, to doskonale słyszałam, jak nuci piosenki. Rozpoznawałam jej głos, kiedy opowiadała wszystkim o MNIE! O tym, jak będzie mnie tulić w swoich ramionach. Gdy tańczyła i śpiewała, czułam miłe kołysanie. Szybko wtedy zasypiałem. Były też takie dni, gdy razem z mamą tańczyłem, stukając rytmicznie stopą w jej brzuch. Tak mijały kolejne tygodnie. W końcu zdecydowałem, że chcę już zobaczyć moją rodzinę...

Przyszli dziadkowie zawieźli Patifinkę do oddalonego parę przecznic dalej wielkiego budynku. Czułam wielką radość i ekscytację, że w końcu będę mógł przytulić się do mojej mamy. Na początku nie mogłem wcale otworzyć swoich oczu, gdyż raziło mnie światło z ogromnej lampy. Swoimi głośnymi krzykami starałem się zawiadomić wszystkich, że jestem tu, słyszę i widzę. Lekarze dokładnie mnie pooglądali, a potem na chwilę jakaś Pani położyła mnie tuż przy twarzy mojej mamy. Od razu ją rozpoznałem po zapachu. Czułam, jak drży z przejęcia. Dostrzegłem też ulgę w jej oczach, że ma mnie wreszcie przy sobie. Poczułem jej ciepło, kiedy delikatnie pogłaskała mnie





palcem po policzku i pocałowała.

Po chwili jechałem już długim korytarzem, potem windą, aż trafiłem do pokoju, w którym wisiało mnóstwo monitorów, kabli i innych nieznanymi mi urządzeń. Miejsce to wyglądało jak sala dowodzenia. Następnego poranka znów zobaczyłem mamę oraz poznałem dziadka, babcię i ciotkę Justyfinkę. Wtedy po raz pierwszy moja rodzinka dowiedziała się, że trochę wyróżniam się spośród innych. Mianowicie urodziłem się bardzo malutki. Takiego maluszka w naszej rodzinie, a nawet w całej Dolinie Grudki jeszcze nie było. Oprócz tego dostałem w gratisie dziurkę w podniebieniu. Dziadek, spoglądając na mnie, pochylił się i szepnął do mojego uszka:

*- Nie ważne jak wyglądasz, jesteś jednym z nas. Kochamy Cię takim, jakim jesteś. Jesteś naszym Małym Wielkim Skarbem. Nikogo takiego jak Ty jeszcze tu nie było i nigdy więcej nikt taki jak Ty już się tu nie pojawi. Jesteś niepowtarzalny. Jedyny w swoim rodzaju. Jesteś cudem...*

Mama troszkę martwiła się, jak sobie poradzę z takim malutkim wzrostem, ale ja już wtedy wiedziałem, że pokażę im wszystkim, na co mnie stać.

Jeszcze przez kilka tygodni mieszkałem w szklanym ciepłym domku. Głównie spałem, otwierając tylko co jakiś czas jedno oko, spoglądając, kto obok mnie przechodzi. Leżałem sobie na miękkiej okrągłej poduszce, nóżki zwisały mi w dół, rączki trzymałem pod głową. Zupełnie jak na pontonie, spokojnie dryfującym po morzu. Nade mną wisiał, niebiesko biały wąż (prawie taki długi jak strażacki), a z niego, bezpośrednio przez nosek do mojego brzuszka, spływało ciepłe mleczko. Jakie to było przyjemne. Pewnie dlatego marzę, by w przyszłości zostać strażakiem.

Dwa razy dziennie przychodziła do mnie trenerka. Zabierała mnie na żółtą matę. Na niej wykonywałem pierwsze ćwiczenia. Z początku nie przepadałem za tym, bo wylegiwanie się w kole było fajniejsze. Dobra, ale w końcu jakoś się zmobilizowałem i zabrałem do pracy. Tak, tak. Trening to ciężka praca! Nie myślcie sobie, ale to właśnie dzięki niemu nabierałem sił, doskonaliłem ruchy i wzmocniłem moje ciało. Musiało być dobrze przygotowane na różne misje i zadania..., ale o tym troszkę później.

W końcu, po miesiącu Patifitka mogła mnie zabrać do naszego domku. Nie uwierzycie jak ja na tę chwilę długo czekałem! A w domu? Pierwsza kąpiel nowego maleństwa zarezerwowana jest dla najstarszego z rodu – to taka tradycja. Byłem tak malutki, że mieściłem się w jednej dłoni dziadka. Oczywiście nie obyło się bez atrakcji, ponieważ gdy tylko ktoś kładł mnie na plecy, zmieniałem kolor ciała na purpurowy. Był to sygnał alarmowy, że brakuje mi tchu, oraz że natychmiast potrzebuję tlenu. I tak przez kolejne miesiące cała familia dbała o mnie. Babcia Jolitka szyła mi piękne spodenki, sweterki, bluzeczki i czapeczki. Takie tyci, tyci, bo wszystkie sklepowe ubranka był za

duże. Ciocia Justyfinka czuwała przy mnie z maską tlenową, a dziadek spędzał ze mną dużo czasu, bawiąc się kukiełkami. Był też przy mnie, kiedy stawiałem swoje pierwsze kroki. Jednak najwięcej uwagi poświęcała mi moja mama.

W kalendarzu, na kolorowo, mieliśmy zaznaczony dzień wielkiej wyprawy. Feliksiątka spakowały walizki i ruszyły długą drogą do stolicy wszystkich Dolin. Właśnie tam pracował znany magik, który złotą nicią zacerował moją dziurkę w buzi. Od tego dnia rozpocząłem naukę połykania, a mój strażacki wąż poszedł w odstawkę.

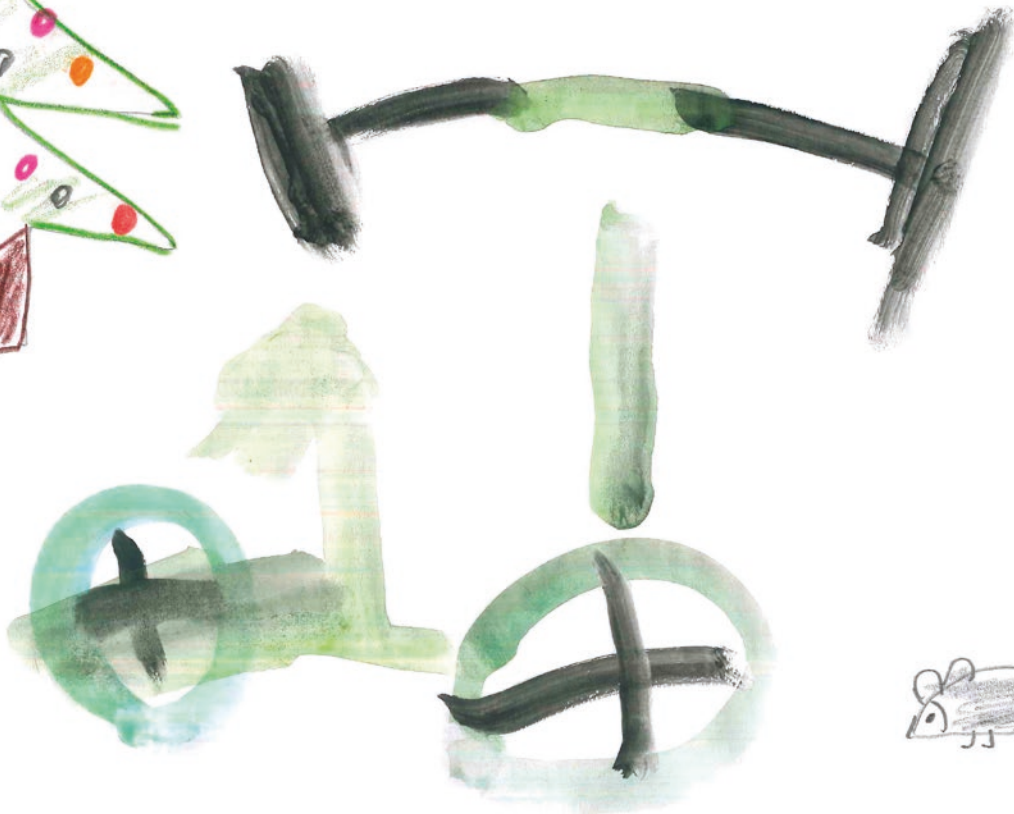
Tak mijały kolejne miesiące. Swoją osobą sprawiałem wszystkim wiele radości. Pomimo tego, że byłem bardzo malutki, dzielnie pokonywałem wszelkie trudności. Kiedy nie potrafiłem osiągnąć przedmiotu, na którym mi zależało, podciągałem się ze wszystkich sił rączkami, tak długo, aż udało mi się osiągnąć swój cel. Dziadek Rudolfin zamontował dla mnie poręczę, aby ułatwić wchodzenie po schodach. Dostałem też taborecik, który ustawiam przy umywalce lub drzwiach. Lubię być samodzielnym. Gdy potrzebuję włączyć oświetlenie, wyciągam czarodziejską różdżkę. Jedno uderzenie i gotowe! Lubię przeglądać się w lustrze. Mógłbym tak siedzieć godzinami i patrzeć na siebie, na moje jasne włoski i niebieskie oczka. Lubię moje niebieskie aparaciki, które noszę w uszach. Tylko ja jedyny w naszej Dolinie takie mam. Dzięki nim wyglądam jak agent. Potrafię usłyszeć najcichszy szmer. To czyni mnie niepowtarzalnym... Odkryłem też coś niezwykłego. Jak widzę kogoś smutnego, włączam swoje ulubione radyjko, a jego troski uciekają w mgnieniu oka. Pewnie jesteście zaskoczeni jak to możliwe? Mam taki tajny sposób. Zdradzę go Wam. Jest nim mój taniec. Potrafię nieźle rozruszać moje drobne ciało. Nauczyłem się różnych figur. Jak tylko zaczynam tańczyć od razu uśmiech gości na twarzach oglądających mój występ. Mam małą gitarę oraz perkusję i czasem nawet sam na nich gram. Gdy się rozkręcę słychać mnie w całej Dolinie Grudki. Chciałbym kiedyś wystąpić na wielkiej muzycznej scenie, ale jeszcze muszę trochę potrenować.

Mama Patifinka zawozi mnie do tutejszego przedszkola. Mam tu dużo kolegów. Panie są sympatyczne i w razie potrzeby mogę liczyć na ich pomoc. Bawimy się klockami, rysujemy, śpiewamy i się przytulamy. Pewnego dnia bawiliśmy się w moją ulubioną zabawę czyli wyścigi żużlowe. Ustawialiśmy się w jednej linii i na sygnał dźwiękowy biegliśmy, aż cztery okrążenia. Wygrywał ten, kto zrobił to najszybciej. Chodź bardzo się starałem i biegłem z całych sił, to za każdym razem na mecie byłem ostatni. Moje małe nóżki nie były w stanie sprostać temu zadaniu. Bardzo źle się z tym czułem. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego tak jest. Byłem wściekły, na to, że jestem taki mały i przez to nie mogę wygrać. W tym dniu nie chciałem już więcej w nic się bawić. W drodze powrotnej do domu siedziałem cichutko i nie chciałem rozmawiać. Zaniepokojona mamusia zapytała, co się stało?

Kiedy opowiedziałem sytuację z przedszkola, usiedliśmy przytuleni na ławce przed naszym zielonym domkiem. Rozmawialiśmy o tym, jak możemy rozwiązać ten problem. Mamusia Patifinka zaproponowała, abym założył koszulkę lekarza, który w czasie meczu żużlowego jest bardzo potrzebny.

- Każdy z nas w życiu pełni ważne funkcje – tłumaczyła mi mama. - W taki sposób możemy zbudować zgrany zespół. I tylko razem jesteśmy w stanie osiągnąć cel. Podobnie jak puzzle. Rozsypane nie przedstawiają takiej wartości jak wtedy, gdy są ułożone. Tylko w połączeniu z innymi puzzlami spełniają rolę, do jakiej zostały stworzone. Podobnie i my.

Po tych słowach postanowiłem, że następnego dnia podczas zabawy w wyścigi żużlowe będę lekarzem. Bez niego przecież nie mogą odbyć się żadne zawody! Dzieciom w przedszkolu bardzo spodobał się ten pomysł. Całe popołudnie bawiliśmy się razem...



Nastąpiła sroga zima. Za oknami szybko robiło się ciemno. To był też czas przygotowań do Świąt Bożego Narodzenia. Razem z dziadkiem wybraliśmy się do lasu po choinkę. Sporo czasu minęło, zanim zdecydowaliśmy się na jedną z nich. W końcu wybór padł na najpiękniejszą w całym lesie, oczywiście naszym zdaniem. W domku babcia Jolitka gotowała przeróżne potrawy na wigilijną kolację. Mama Patifinka i ciocia Justifinka przygotowywały ozdoby. Wyciągnęły ze strychu kartony wypełnione po same brzegi błyszczącymi bombkami. Dziadka i moim zadaniem było przyozdobicie nimi naszego drzewka. Najpierw uroczystie wnieśliśmy choinkę do największego pokoju i ustawiliśmy ją na środku. Jejku, jak ona pięknie pachniała! Wieszadłem bombki na niższych gałązkach, a dziadek na tych wyższych, nucąc przy tym wesołą melodię. Ostatnim elementem było umieszczenie na wierzchołku gwiazdki. Na początku nie było to takie proste, jakby mogło się wydawać. Byłem za mały, by sobie z tym poradzić. Dziadek, pomimo że jest o wiele wyższy ode mnie, wspinał się na palcach i podskakiwał, też nie mógł sięgnąć czubka choinki. Pomyśleliśmy, że skoro razem tu jesteśmy, to nie może być przypadek. Musimy dać radę, bo im z pozoru trudniejsze zadanie, tym większa satysfakcja, kiedy uda się je zrealizować. I tak też się stało.

- *Już wiem dziadku!* – krzyknąłem w pewnej chwili uradowany. - *Weź mnie na swoje barki! Wtedy to już na pewno nam się uda.*

Tego wieczoru pod choinką znalazłem maleńki rowerek, który zrobił dla mnie dziadek Rudolfin. Niczym błyskawica jeździłem, wokół stołu wyobrażając sobie, że rozgrywam mecz żużlowy. Od tej chwili mogłem też szybciej dotrzeć do celu, gdy moje nóżki były zmęczone.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia rozpoczął się od wspólnego rodzinnego śniadania. Od samego rana wypatrywałem ciocię Justyfinkę i wujka Maciufinkę. Czas dłużył mi się niemiłosiernie więc babcia zaproponowała, abym pomógł w przygotowaniach. Założyłem piękny maleńki fartuszek, który uszyła Jolitka i zabrałem się za rozkładanie talerzy, filiżanek i sztućców dla całej rodziny. Postanowiłem narysować obrazek dla każdego i tym sposobem oznaczyć dane miejsce przy stole. Gdy zakończyłem swoją pracę, usiadłem przy oknie i wypatrywałem czy wśród spadających płatów śniegu nie widać gości.

- *O której oni będą?*- pytałem niecierpliwie mamę.

- *Gdy usłyszysz dziesięć razy bicie zegara to znak, że nastąpiła pora śniadania* – odpowiedziała z uśmiechem. Ciocia tego dnia niczego nie tknęła. Byliśmy bardzo zdziwieni, bo na stole były jej ulubione dania.

- *Mam coś dla Ciebie* – powiedział wujek, wręczając mi pudełko owinięte czerwoną wstążką - *Otwórz i zobacz, co w nim jest.*

Kiedy zaskoczony otworzyłem wieczko pudełka, zobaczyłem małe różowe skarpetki.



- *Przecież już nie noszę takich malutkich skarpetek, a po drugie nie przepadam za tym kolorem* – powiedziałem nieco rozczarowany.

- *Zostaniesz starszym kuzynem* – powiedział do mnie szczęśliwy wujek, a pozostali domownicy zaczęli krzyczeć i klaskać z radości.

Dzidziuś miał się urodzić latem. Nie mogłem doczekać się chwili, kiedy będę opiekował się moją małą kuzynką i dbał o to, aby nic złego jej się nie stało. Mama Patifinka powiedziała mi, że narodziny dziecka oznaczają wielkie zmiany w rodzinie. Zaczęliśmy się więc do nich przygotowywać. Dziadek Rudolfin przyniósł ze strychu śliczne ubranka, które nosiłem, kiedy się urodziłem. Nie mogłem uwierzyć, że kiedyś byłem tak malutki! Mama pokazała nam album, a w nim moje fotografie

- *To ty. Tak wyglądałeś, gdy się urodziłeś* - powiedziała wskazując na ślicznego bobasa.

- *O rety, ale to niesamowite...* - pomyślałem, przyglądając się sobie na zdjęciach.

Mijały kolejne miesiące. Brzuszek cioci stawał się coraz większy. Przytulałem się do niego i dzięki moim super aparacikom mogłem usłyszeć bijące serduszko kuzynki. Często też widziałem, jak zmienia on swoje położenie. Wyglądał jak masa ciasta, którą wyrabiamy z dziadkiem przed pieczeniem! Aby sprawniej odliczać dni do narodzin, babcia podarowała mi nasionko fasolki. Zasadziłem je w doniczce i dbałem o nie, aby nie zabrakło mu wody i słońca. Obserwowałem, jak roślinka wyrasta z ziemi i robi się coraz większa. To znak, że jest już bardzo blisko do porodu.

Pewnego upalnego dnia cała rodzinka Feliksiątek bardzo dziwnie się zachowywała. Dziadek zabrał się za gotowanie, choć był to środek tygodnia. Mama z babcią zaczęły robić porządki, zarówno w naszym domu, jak i u cioci Justyfinki.

- *Dziwnie się zachowujecie. O co chodzi?* - zapytałem zdezorientowany.

- *Wojtaszku, nie przeszkadzaj nam. Może porysujesz troszkę? Później opowiem Ci, dlaczego jest dzisiaj takie zamieszanie...* - odpowiedziała mi w pośpiechu mama.

Wieczorem mama wzięła mnie na kolanka i zawiadomiła, że jutro rano będę mógł zobaczyć swoją kuzyneczkę. Jaki byłem szczęśliwy, że wreszcie nastąpiła ta chwila!

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu ubrałem się w najlepsze ubranka i pojechaliśmy do domku cioci. Od samego progu usłyszałem głośny płacz dziadka i babci. Wiedzieliście, że można płakać, kiedy jest się szczęśliwym? Podszedłem bliżej, zainteresowany tym, co się dzieje. I wtedy ją ujrzałem. Leżała sobie zawinięta w seledynowym kocyku. Miała ciemne oczka i włoski. Wyglądała jak mała pyza z bajki. Ciocia pozwoliła mi na chwilę wziąć ją na rączki. Była bardzo ciężka.

- *Hejka, to ja twój starszy kuzyn. Będę się Tobą opiekował i dbał o Ciebie* – powiedziałem do tej małej dziewczynki. - *Przyniosłem dla Ciebie prezent. To jest mój ulubiony misio. Już go nie potrzebuję. Teraz*

*Tobie się przyda. O jej, a co tu tak brzydko pachnie?* – zatkałem nos. – *To ona nie woła, że chce do toalety?*  
- zapytałem ze zdziwieniem.

Od tego dnia zabrałem się do pomagania. Nie wyobrażacie sobie ile to roboty przy takim ma-luszku! Co chwilę zmiana pieluszki, karmienie.

Gdy troszkę podrosła nauczyłem ją mówić i chodzić. Na początku się bała, ale ja trzymałem ją za obie ręce i powoli szliśmy do przodu. To niesamowite uczucie być czymś nauczycielem. Czuję się strasznie z tego dumny. Co ciekawe, mimo że jestem starszy, aż o cztery lata – to Laurrieta i ja jesteśmy tego samego wzrostu. Mieszkańcy naszej Doliny Grudki myślą, że jesteśmy bliźniakami. Mnie to wcale nie przeszkadza. Czasem nawet jest to zabawne, bo możemy razem robić różne psikusy. Tworzymy naprawdę zgrany duet. Moje nieskończone obiadki dojada kuzynka, a później mówimy, że każdy z nas zjadł swoją porcję.

Chętnie też uczymy się od siebie nawzajem. Na przykład bardzo nie lubiłem czymś się ubrudzić. Nawet najmniejsza kropka na koszulce obrzydzała mnie. I co zrobiła Laurrietta? Pewnego razu podczas kolacji rzuciła we mnie makaronem. Za chwilę widzę kolejny rzut i na mojej głowie wylądowała kolejna porcja makaronu. Jakoś się przemogłem, wziętem tę obślizgłą nitkę i rzuciłem w jej kierunku. I tak rozpoczęła się bitwa makaronowa. Nie pytajcie, jak wyglądała po niej jadalnia, ale najważniejsze jest to, że dzięki niej odważyłem się dotknąć paluszkami makaronu. To był dla mnie wielki wyczyn.

Innym razem wybraliśmy się na plac zabaw. Postanowiłem wspiąć się na wieżyczkę, z której można było zjechać do piaskownicy. Już miałem na nią wejść, ale okazało się, że nie dosięgam poręczy. Bardzo chciałem dostać się na górę, lecz mimo prób się nie udawało. Laurrieta stanęła za mną i podsadziła mnie ze wszystkich sił do góry. W końcu mogłem zjechać z wieży wprost do piasku.

I tak to z nami jest... Teraz razem realizujemy swoje marzenia. Kocham moją kuzynkę. To dzięki niej, oraz całej mojej kochającej rodzinie, nieraz powtarzam sobie pod noskiem taki oto wierszyk:

*Ja malutki, ja drobniutki,  
ale wszystko w sobie mam,  
co potrzebne,  
aby czynić dobro Wam.  
Na perkusji sobie gram,  
chętnie tańczę  
i pocieszę zawsze tam,  
gdzie się komuś krzywda dzieje  
i czasami łza poleje.  
Chłopcem jestem więc wspaniałym,  
a gdy trzeba - też zuchwałym!  
Szybkim, ładnym, no i bystrym,  
więc zostanę wnet ministrem!  
Nie mierz innych centymetrem,  
lecz dobrocią -  
ona serca jest efektem.*





77.

## Do zobaczenia Babciu...

Trzymając w ręku kartkę z wynikami moich badań, czułam się bardzo szczęśliwa. Ale jednocześnie też bardzo zmęczona oczekiwaniem na tą niewinnie wyglądającą kartkę. Wyczerpana niepewnością i lękiem, przed tym, co tym razem przyniesie mi los, postanowiłam w tym dniu położyć się trochę wcześniej. Musiałam odpocząć.

Sen przyszedł szybciej, niż zwykle, ale nie był on zwykłym snem, jakie śniłam co noc. Zасыpiając, miałam uczucie, że ktoś mnie obserwuje, lecz ciężkie ze zmęczenia powieki nie pozwoliły mi zobaczyć, czy tak jest w rzeczywistości. Pomimo tego poczułam się rozluźniona i spokojna. O takim śnie marzyłam długie tygodnie, czekając na wyniki badań, których obawiałam się jak wyroku.

Początkowo sen nie był niezwykły. Właściwie nic szczególnego się w nim nie działo. Jednak po chwili zobaczyłam postać kobiety, w jasnej sukni idącej... a, raczej sunącej się w moim kierunku.

- Co u Ciebie? - zapytała jakbyśmy się znaly od wielu lat. - *Jak sobie radzisz w życiu?*

Usłyszałam Jej głos i poczułam, że nie jest mi obca. Pomimo tego, że nie mogłam dostrzec jej twarzy, poczułam, że chcę z Nią porozmawiać, zwierzyć się. Nie wiedząc kiedy, zaczęłam opowiadać jej moją historię...

Wydaje mi się, że moje życie zaczęło się od narodzin syna. Od tego czasu mój świat się bardzo zmienił. Wszystko wywróciło się do góry nogami. Teraz dopiero mogę powiedzieć, że wcześniejsze problemy i rozterki, były naprawę nieznaczące. Nie mówię tego, by ktoś mnie żałował czy litował się nade mną, ale po to, aby samej lepiej to zrozumieć. Chciałabym wierzyć, że wszystko, co się dzieje w naszym życiu, ma jakiś cel. Usłyszałam kiedyś od wiekowej i bardzo mądrej osoby, że Pan Bóg zsyła na nas to, czego nie zesłałby nikomu innemu, bo wie doskonale, że to właśnie my damy sobie z tym radę. Nie jestem pewna czy się z tym zgadzam. Nawet teraz pisząc to, wydaje mi się, że usłyszałam to tylko po to, bym umiała się z tym wszystkim pogodzić - niestety, do dziś mi się to nie udało. Nie potrafię tego zaakceptować, lecz staram się z tym żyć.

Można powiedzieć, że od narodzin naszego syna uczymy się wszystkiego na nowo. I to nie tylko my jako rodzina, ale całe nasze otoczenie, znajomi, którzy nas wspierają. Każdy z nich oswaja się z chorobą naszego dziecka. Starają się nauczyć sposobu postępowania, traktowania i samego zachowania się w obecności naszego syna. Rozumiem to doskonale, bo przecież każdy z nas ma obawy przed nieznanym. Znając zachowania syna, wiem co robić i jak się zachowywać, by go nie urazić. Jednak mając do czynienia z inną chorobą, z którą nigdy się nie spotkałam, także miałabym obawy. Mimo wszystko myślę, że starałabym się dowiedzieć więcej i przybliżyć sobie tą nieznaną mi chorobę. Mówię o tym dlatego, że spotykam się z różnymi reakcjami. Była litość, której nie chcę, strach którego nie rozumiem i pogarda, której w ogóle nie mogę pojąć. Miałam czasem wrażenie, że żyjemy w średniowieczu, ale cóż, tego nie przeskoczymy, nie zmienimy świadomości całego społeczeństwa. Sama staram się otaczać ludźmi dobrymi i serdecznymi. Nie potrzebuję całej rzeszy znajomych, wystarczy mi małe grono przyjaciół. I takie mam. Oni nas wspierają, z nimi się dobrze czujemy, chociaż bardzo rzadko się spotykamy, bo każdy z nich ma swoje życie, pracę, rodzinę, to wiem, że są i że mogę z nimi porozmawiać. Z siostrą o tym, co dziś mnie wkurzyło, z żoną kuzyna o problemach szkolnych naszych dzieci (bo chłopcy są rówieśnikami), a z przyjaciółką o kłopotach rodzinnych. Zawsze odbiorą ode mnie telefon, co czasem jest mi bardzo potrzebne... Pewnie nawet nie są świadomi, jak nieraz pomogli mi krótką rozmową, czy szybkim SMS-em. Są dla mnie wielkim wsparciem. Jestem szczęśliwa, że ich wszystkich mam.

Kiedy byłam w ciąży, wszystko było prawidłowo mimo mojego wieku.

- ... *bo jednak pani grubo po trzydziestce, to zawsze większe ryzyko* - mówił do mnie lekarz zadowolony z przebiegu ciąży. Okazało się jednak, że prawidłowo i idealnie, było tylko według niego...

Wreszcie nadszedł ten dzień, na który tak czekałam. Już jadąc na porodówkę, miałam mieszane uczucia. Może po prostu ogarnął mnie strach? Na miejscu było jeszcze gorzej. Zostałam przyjęta, dostałam piękny niebieski pokoik. Po badaniu położna zapytała:

- *Czy ciąża przebiegała prawidłowo?*

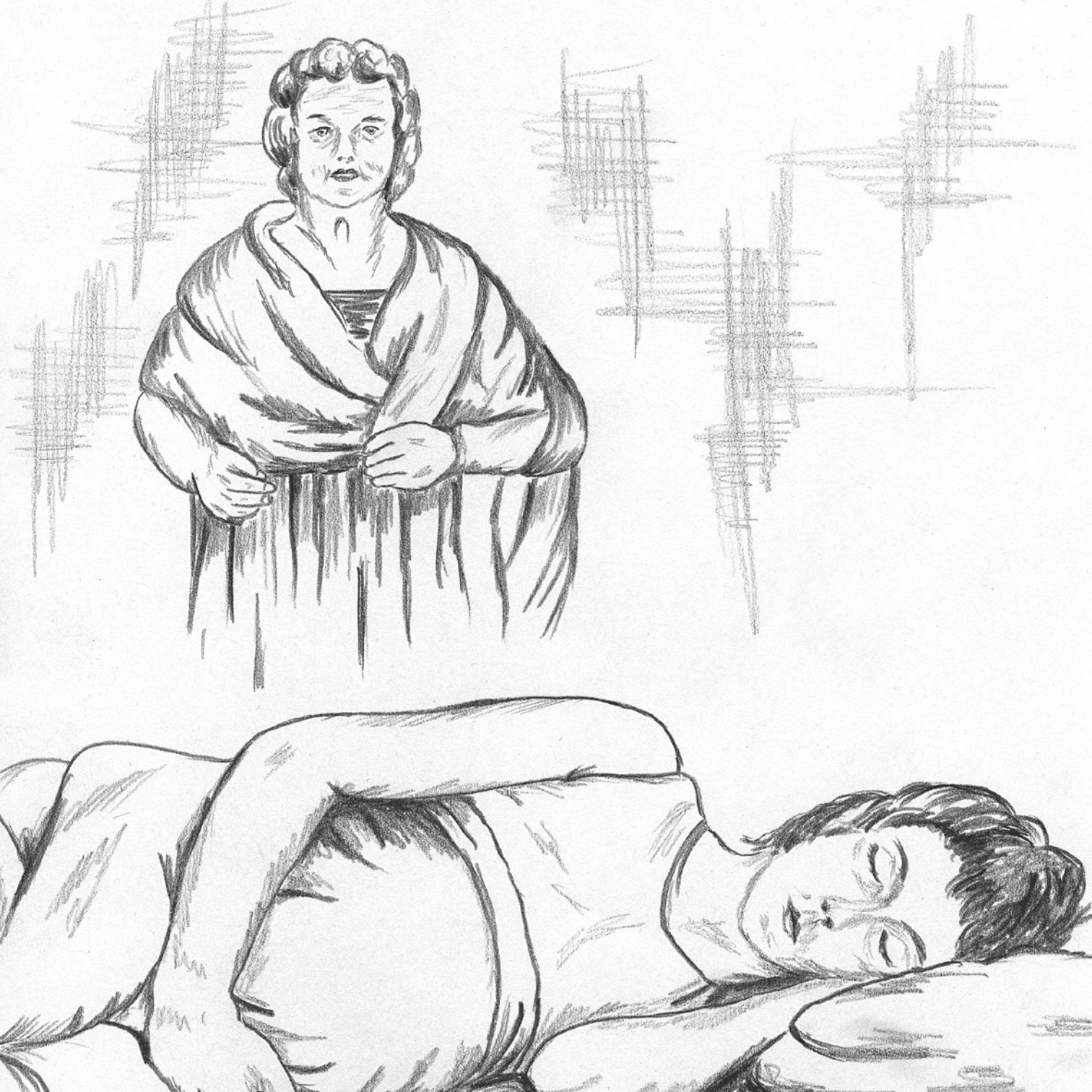
- *Tak, bez problemu* - odpowiedziałam.

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie i wyszła. Leżałam na łóżku i zastanawiałam się, skąd takie pytanie? Przecież w dokumentach było wszystko opisane. I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Leżąc tyłem do drzwi, poczułam rękę na swoim ramieniu. Ktoś podszedł do mnie i szepnął do ucha:

- *Jak wrócą, zgódź się na cesarskie cięcie.*

Kiedy odwróciłam głowę w pokoju nie było nikogo.

- *Ale zaraz, zaraz...* - nagle dotarło do mnie, kim jest tajemnicza postać stojąca koło mnie i słu-



chająca mojej historii.

- *To jesteś Ty!... Tak Ty. Teraz to wiem! Twarz jakaś rozmazana, ale poznaję Twój głos. To Ty Babciu?* - zapytałam.

Kobieta uśmiechnęła się do mnie. Jej twarz stała się bardziej wyraźna. Byłam już pewna, że to Ona.

- *Usiądź ze mną na ławce pod orzechem, opowiem ci więcej...* - powiedziałam do Niej.

Dopiero wtedy zauważyłam, że nadal trzymam w ręce kartkę z moimi wynikami badań, na które tak długo czekałam. Sen w magiczny sposób przeplatał się z rzeczywistością...

Babcia usiadła bez słowa i wyciągnęła dłoń w geście zapraszającym do dalszej rozmowy.

- *Wiesz Babciu... nie spodziewałam się, że spotka mnie coś tak bolesnego - zaczęłam powoli. - Tylko tak można nazwać narodziny chorego dziecka. Ból, rozpacz, bezsilność, takie uczucia mi towarzyszyły. Myślałam jednak, że wszystkie matki rodząc chore dziecko, odczuwają to samo. I bez znaczenia jaka to choroba, bo przecież żadna z nas nie spodziewa się takiego wyroku i nie czeka na chore dziecko. Nawet ta, która po badaniach wie, że jest coś nie tak, to zawsze, do samego końca ma nadzieję, że będzie dobrze, że może to pomyłka, że stanie się cud. Wada genetyczna, jaka by nie była, to dla matki jest wyrok. To ciągła, lecz nierówna walka. I pewnie właśnie wtedy nasuwa się to fundamentalne pytanie, DLACZEGO JA? Dlaczego właśnie mnie to spotkało? Co zrobiłam źle? Tysiące pytań, oczywiście w większości bez odpowiedzi.*

W trakcie porodu okazało się, że syn ma poważną wadę serca i problemy z oddychaniem. Szybka akcja lekarzy i ani się nie obejrzałam, a syn już był w inkubatorze. Nie widziałam go nawet przez sekundę z bliska, nie mogłam dotknąć tych maleńkich rączek, nie zdążyłam spojrzeć na jego maleńką buzię. Leżąc na sali, po porodzie ciągle rozmyślałam, co się dzieje z moim maleństwem. Po cesarskim cięciu nie mogłam się zbyt wiele ruszać. Wiadomości przekazywał mi mąż, który został na „placu boju”. Chodził do syna, patrzył na Niego, dopytywał lekarzy o jego stan zdrowia. Stopniowo otrzymywał co raz to więcej informacji na temat choroby synka. Później wszystko przekazywał mi telefonicznie, bo w czasie, kiedy trafiłam do szpitala, panowała grypa i wprowadzony został zakaz odwiedzin. Została nam tylko łączność telefoniczna, co pogłębiało jeszcze mój niepokój.

Syna mogłam zobaczyć po trzech dniach, kiedy stanęłam na nogi. Nie zapomnę nigdy w życiu tej chwili.

- *Kobieto opamiętaj się, weź się w garść. Przecież zejdziesz tu zaraz na zawal i nie zdążysz go nawet zobaczyć* - pomyślałam, kiedy stanęłam w drzwiach sali pełnej małych inkubatorów.

Oczy zaszyły mi jakąś dziwną mgłą, ktoś coś do mnie mówił, ale nic do mnie nie docierało. Nie mogłam ruszyć się z miejsca. Zauważyłam jakąś panią, która kieruje mnie w róg sali. Coś mówiła,



ale to było mało ważne. Wreszcie wypatrzyłam syna.

- Nawet spory - pomyślałam.

Kiedy podeszłam do niego, patrzył na mnie. Wydawało mi się, jakby się do mnie uśmiechał. Niestety, nie mogłam go wtedy jeszcze dotknąć. Stałam tam i tylko się przyglądałam. Czułam się jak intruz podglądający nieswoje dziecko, ale to nic, to było nieważne. Mogłabym stać tam godzinami.

Wiedziałam już wtedy, że ma chore serduszko, lecz nie podejrzewałam, że będzie aż tak źle. Kiedy wróciłam do sali, po chwili weszła pani doktor dyżurująca. Usłyszałam od niej, że mój synek ma poważną wadę serca. Stwierdziłam: ok, to już wiem, ale to, co usłyszałam po chwili, ścięło mnie z nóg.

- Podejrzewamy u pani syna zespół Downa.

- Jak ona mogła mi coś takiego powiedzieć? - pomyślałam - Co mnie obchodzi ich podejrzenie? Pew-

*nie to jakaś pomyłka. Wpadła na tę salę przez przypadek i walnęła gafę. Przecież to nie jest możliwe... Dwa nieszczęścia naraz...? W totka nigdy nie trafiłam, a tu masz!*

Lekarka siedziała przy moim łóżku i ciągle coś mówiła. Rozumiałam ją doskonale, lecz nie docierało to do mnie w ogóle. Usłyszałam tylko jej ostatnie zdanie:

*- Jest źle, może pani ochrzcić dziecko.*

Następnego dnia z samego rana byłam już u synka. Podeszła do mnie pielęgniarka i zapytała, czy chcę go przytulić. Z przejęcia nie mogłam znów nic powiedzieć. Skinęłam tylko głową. Po chwili siedziałam już na fotelu z synem przytulającym się do mojej piersi. Chyba nie muszę żadnej matce opisywać tego cudownego uczucia... I od tego dnia chodziłam tam codziennie. Siedziałam godzinami i korzystałam z tego, że mi na to pozwalają.

Po dziesięciu dniach dostaliśmy wypis ze szpitala. Otrzymałam dokumenty potwierdzające, że dziecko zostało poddane badaniom genetycznym i mamy czekać na wyniki, a z jego chorym serduszkiem należy zgłosić się jak najszybciej do poradni kardiologicznej.

*- Dobrze, wszystko zrobię, ale za kilka dni – pomyślałam – Teraz chcę już jechać do domu, bo przecież jutro Wigilia! Potrzebuję odpocząć i cieszyć się synkiem z całą rodziną.*

W drodze do domu miałam obawy przed tymi wszystkimi pytaniami znajomych, rodziny:

*- A co z dzieckiem? Na co choruje? A co na to mąż? Jak teraz dasz sobie radę z tak chorym dzieckiem? A skąd do cholery miałam to wszystko wiedzieć!!! Nie miałam na te pytania jeszcze żadnej odpowiedzi – biłam się z własnymi myślami. – Co teraz będzie? Jak to będzie? Jak mu pomóc? Czy dam radę to wszystko ogarnąć? – zamartwiałam się.*

Od natłoku myśli podłamywałam się z dnia na dzień. Święta, wszyscy wokół się radują, a ja chodziłam i popłakiwałam po kątach. Nie miałam ochoty z nikim rozmawiać, nie chciałam widzieć żadnych gości odwiedzających i oglądających mojego synka. Było mi ciężko, bo przecież nie wiem, co dalej nas czeka. Myślałam o sobie, że jestem silną babką, jednak myliłam się... Choroba i cierpienie dziecka potrafią ugiąć niejednego...

Na szczęście taki stan nie trwał długo. Musiałam wziąć się w garść. Przede wszystkim ochrzcić syna. To było dla nas ważne. Dopiero później zaczęliśmy z mężem szukać pomocy, dzwonić do specjalistów, poradni. Szczęśliwie pojawili się na naszej drodze mądrzy ludzie, którzy nam pomogli. Doświadczona pani doktor pediatra wysłała nas do odpowiednich poradni, w których zaczęliśmy umawiać się na wizyty. W międzyczasie przyszły wyniki badań genetycznych:

*- Cholera, a jednak pani doktor nie pomyliła się w szpitalu – pomyślałam.*

Trzymałam w ręku dokument poświadczający, że syn ma zespół Downa. Przyjęłam od losu ko-





lejny cios... Cóż, musieliśmy pomyśleć o następnych specjalistach.

Bardzo szybko, bo już po trzech tygodniach trafiliśmy do poradni kardiologicznej. Niestety, diagnoza kardiologa ze szpitala położniczego znów była trafna. Lekarze z kliniki nie dawali nam wielkich nadziei.

- *To ciężki przypadek, wada serca jest złożona – mówili, bezradnie rozkładając ręce. Gdyby był zdrowym dzieckiem, najlepszym wyjściem byłby przeszczep, ale lista oczekujących jest taka długa...*

- *Zaraz, zaraz – pomyślałam – przecież jeśli byłby zdrowym dzieckiem, to bym tu nie szukała pomocy!* Po chwili uświadomiłam sobie, że chodziło o zespół Downa. Ogarnęła mnie bezsilność, rozpacz i wielka złość. - *...ale przecież nie można tego tak zostawić. Myśl kobieto, co teraz?! – mobilizowałam samą siebie. – Nie!!! Nie będę rozpaczać, trzeba walczyć.*

Nie chciałam czekać na śmierć kolejnej małej istoty. Na cierpienie kolejnej matki, na rozpacz rodziny. Przerazała mnie ta świadomość. Wiedziałam jednak, że tylko tak można uratować życie innego dziecka, ale jeśli nie ma takiej możliwości, to chciałam, by pomogli mojemu synkowi tu i teraz. By znaleźli inne rozwiązanie. Pragnęłam, aby syn był z nami kolejne dni, miesiące, lata. Chciałam go przytulać, ścisnąć, całować.

I udało się! Po trzech miesiącach zadzwonił pan doktor i oznajmił, że znalazł sposób, by nam pomóc. Syn będzie operowany. Poczułam wielkie szczęście, a zarazem obawę, jak tym razem skończy się ta historia. Ponownie były to dla mnie ciężkie dni. Kobiety mające zdrowe dzieci są wielkimi szczęściarami. Te, które chociaż raz w życiu przeszły coś podobnego na pewno wiedzą, o czym mówię. A przecież u niepełnosprawnych dzieci rzadko kończy się na jednej operacji. Tego strachu, niepewności, co będzie za kilka godzin, dni, lat nie da się opisać.

W dniu operacji syna mąż musiał być w pracy. Pamiętam, jakby to było dziś. Wczesnie rano do sali weszła pielęgniarka. Na łóżeczku powiesiła karteczkę i poinformowała mnie, żeby nie karmić synka. Lek, który dostał w kroplówce, był zwiastunem tego, co mnie w tym dniu czekało. Patrzyłam na to maleństwo, a ono odpływało mi na rękach. W takim momencie każda matka płacze. Widziałam, jak nie jeden tato odwracał się ze łzami w oczach i wychodził ze szpitalnej sali. Chwilę, kiedy niosłam to dzieciątko na rękach pod drzwi sali operacyjnej (bo, przecież nie pozwoliłam synka nikomu dotknąć) pamiętam do dziś. I ten moment, kiedy te wielkie drzwi się otworzyły... Nie życzę tego przeżycia najgorszemu wrogowi.

Oczekiwanie pod drzwiami dłużyło się w nieskończoność. Wiedziałam, że operacja jest poważna i potrwa około dwóch godzin. Jednak po tym czasie drzwi się nie otwierały, zaczął narastać we mnie niepokój.

– Nikt nic nie mówi. Co to może znaczyć? Spokojnie... w tym wypadku brak wiadomości, to może dobra wiadomość – pomyślałam. Więc czekałam dalej. – Cholera, muszę do toalety! – mówiłam do siebie w myślach. – Nie, nie. Nie ruszę się stąd, nie ma mowy bym odeszła od tych drzwi, ani na chwilę. A jak w tym momencie ktoś wyjdzie i niczego się nie dowiem? Przecież nie wybaczyłabym sobie tego nigdy w życiu!

Po chwili, w tych wielkich drzwiach pojawił się pan doktor. Poinformował mnie, że wszystko się udało, że syn zostanie teraz na sali pooperacyjnej, ale niestety, nie skończy się na jednej operacji. Mamy się liczyć z tym, że kolejną będzie musiał przejść za trzy lata. A teraz będą mnie informować telefonicznie o jego stanie. Kiedy przeniosą go na inną salę, wtedy znów będę mogła być przy nim. Wiedziałam, że takie są procedury i tego nie zmienię.

Dotarłam do domu i zdałam relację mężowi.

– Pozostało nam tylko czekać – powiedział i wyszedł poszukać sobie jakiegoś zajęcia.

– Dobra, to ja też tak zrobię – pomyślałam. Wytrzymałam dwadzieścia minut i zaczęłam wybierać numer telefonu do szpitala.

Dzwoniłam tam dwa razy dziennie. W domu snułam się, udając że coś robię. Wreszcie, po pięciu dniach byłam znów z nim. Niestety, synek dostał pooperacyjnego zapalenia płuc, więc spędziliśmy w szpitalu trzy kolejne tygodnie. Po tym czasie musieliśmy zwolnić miejsce dla innych dzieci czekających na operacje. Syn został przetransportowany do kliniki bliżej naszego miejsca zamieszkania. Dochodził do siebie jeszcze dwa tygodnie.

Po wyjściu ze szpitala czekała nas ciężka rehabilitacja. Klatka piersiowa przecięta, więc jak się można domyślać, raczkowanie nie należało do przyjemnych. Tylko pęzanie na pupie, wychodziło maleństwu całkiem dobrze. Na naukę chodzenia zeszło nam pięć lat. To były bardzo pracowite lata. A jaka radość? Pięciokrotnie większa! Musieliśmy się przyzwycząić do tego, że u naszego syna wszystko trwa dłużej. Nie zapomnę słów naszej pediatry, kiedy zapytaliśmy:

– Jak mamy zacząć zajmować się synem? Jak go rehabilitować, by ruszyć z tym wszystkim do przodu?

– Pamiętajcie, że ... – odpowiedziała spokojnie – dzieci z zespołem Downa rozwijają się wolniej.

– Aha... – dotarła do mnie, ta jakże prosta myśl – to znaczy, że skoro rozwijają się wolniej, to i my musimy czekać na efekty trochę dłużej.

I tego się trzymam do dziś. Roznosi mnie czasem, kiedy syn czegoś nie potrafi zrobić, a już mógłby, bo przecież jest na tyle duży. I wtedy zawsze przypominam sobie słowa pani doktor. Nauczyliśmy się cieszyć z każdego, nawet maleńkiego postępu syna. Wielkim sukcesem na początku było nawet to, że nauczył się trzymać w rączce łyżeczkę. A jak już potrafił sam włożyć ją do buzi i nie ubrudzić się jedząc serek, to była wielka radość. I tak powoli mijały nam dni...



F.T.

- *Słuchasz mnie Babciu?* – zwróciłam się do siedzącej obok mnie kobiety. – *O czym tak myślisz?*

- *Widzę, że dajesz sobie doskonale radę* – odpowiedziała z delikatnym uśmiechem. – *Powiedz mi, co ci w tym pomaga?* – zapytała.

- *Nie wiem...* – zastanowiłam się przez chwilę. – *Może mój upór, chęć życia, moje pasje i ludzie, którymi się otaczam? To wszystko daje mi siłę i chęć do walki.*

Wtedy Babcia wstała z ławeczki i znów, tak jak w szpitalu złapała mnie za ramię.

- *Będzie dobrze...* – pochylając się, szepnęła mi do ucha, po czym powoli zaczęła się oddalać. Po chwili jeszcze odwróciła głowę i uśmiechnęła się do mnie. Chciałam zawołać do niej... ale w tym momencie zadzwonił budzik. Otworzyłam oczy. Czar snu przysł. Nadal byłam zmęczona tak jak poprzedniego dnia. Czułam się jednak bardzo szczęśliwa, że chociaż we śnie mogłam spotkać moją opiekunkę i dobrego ducha.

- *Do zobaczenia Babciu...* – powiedziałam wstając z łóżka, gotowa na to, co przyniesie mi kolejny dzień.



Bajki zawarte w tej książce są naprawdę czymś wyjątkowym, gdyż są efektem pracy kobiet, które opisują swoje doświadczenia i emocje. Autorki napisały je z myślą o sobie i innych kobietach, a przede wszystkim o swoich dzieciach i dla swoich dzieci. Są to opowiadania pełne ciepła i miłości, które przenoszą czytelnika w krainę fantazji. W książce znajduje się pięć takich opowiadań. (...) Całość uzupełniają kolorowe ilustracje stworzone przez dzieci - bohaterów tychże bajek, ich rodzeństwo, przyjaciół lub rodziny. Taka praca nad wspólnym projektem jest godna naśladowania i znacząco podnosi wartość tej niecodziennej publikacji. (...) Polecam naprawdę każdemu przeczytać tę książkę. Wydaje mi się, że zarówno dzieci jak i dorośli czytelnicy będą czerpać z tego przyjemność, ale też będą mogli lepiej zrozumieć problemy, z jakimi na co dzień zmagają się rodzice i ich dzieci z niepełnosprawnością.

*Fragment recenzji wydawniczej  
dr Joanna Janik-Komar  
Instytut Nauk Pedagogicznych  
Uniwersytet Opolski*

„Projekt Siła Kobiet 3 finansowany przez Samorząd Województwa Opolskiego ze środków PFRON, realizowany przez Opolskie Stowarzyszenie Rehabilitacji w partnerstwie z Instytutem Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego”

Numer ISBN: 978-83-945804-4-5